
Wiadomości
Salezyańskie
Nr. 4 — KWIECIEŃ — 1905
Rocznik IX.
Beatus qui intelligit super egenum et pauperem:
in die mala liberabit eum Dominus. [Ps. XL. 1]
DA MIHI
ANIMAS CÆTERA TOLLE

Związek



NAJŚW. MARYI PANNY, WSPOMOŻENIA WIERNYCH,

DLA UŁATWIENIA DOSTĄPIENIA STANU DUCHOWNEGO

w dojrzalszym już wieku będącej młodzieży.

„Bracia, myślmy nad tem, jak długo chcemy, ostatecznie przekonamy się, że niepodobna dokazać dzieła większego, jak przyczyniając się ze swej strony do ukształcenia wzorowego kapłana.“

(Św. Wincenty a Paulo).

Cel Związku. — Celem niniejszego **Związku** jest wspierać taką, w dojrzalszym już będącą wieku, młodzież, która posiadając skądinąd wszelkie potrzebne moralne przymioty i odpowiednie zdolności, pragnie za pomocą osobnego, do jej wieku i potrzeb zastosowanego kursu, oddać się naukom, by potem módz Panu Bogu poświęcić się na służbę w stanie duchownym.

Po ukończeniu studyów i należytem wypróbowaniu ich powołania, pozostawi się alumnom wolność, bądź powrócenia do swojej dyecezyi, bądź wstąpienia do zakonu, bądź też udania się na misye zagraniczne.

⁂

Środki. — Nie posiadamy żadnych stałych funduszów. Zadanie, jakieśmy sobie wyżej stawili, pragniemy osiągnąć za pomocą ofiar, składanych dobrowolnie przez członków Stowarzyszenia, czyli **Związku Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych**, w tym właśnie celu zawiązanego, a przez Ojca św., Piusa IX, pobłogosławionego, gorąco zaleconego i wyposażonego przezeń po wieczne czasy licznymi odpustami.

Członkami tegoż **Związku** mogą być wszyscy wierni płci obojga: tak mężczyzni, jak niewiasty i dzieci, Zgromadzenia zakonne, zakłady naukowe i wychowawcze, towarzystwa i t. d.

Członkowie **Związku Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych**, tworzą osobne, od wszystkich innych odrębne Stowarzyszenie; stanowią, że się tak wyrazimy, *święty hufiec* **Pomocników Bożych**, który stawił sobie za zadanie: rozszerzać kró estwo Chrystusa Pana tu na tej ziemi.

Członkami **Związku** mogą zostać także tacy, którzy nie są **Pomocnikami salezyańskimi.**

⁂

Warunki przyjęcia. — Pierwszym i nieodzownym warunkiem przyjęcia jest: żywe pragnienie przyczynienia się, odpowiednio do swoich zasobów, do przyprowadzenia do skutku *największego* i najlepszego *dzieła*, tj. dostarczenia Kościołowi św. dobrych i gorliwych kapłanów.

Ażeby jednakże wszyscy wierni mogli uczestniczyć w dziele tak wzniosłem, dzielą się członkowie **Związku** na trzy kategorye:

1. **Zwyczajni członkowie**, którzy się zobowiązują płacić *miesięcznie:* po 10 *fenygów* (10 *halerzy*, 5 *kopiejek*); lub *rocznie:* po 1 *marce* (1 *koronie*, $^1/_2$ rubla).

   Kapłani mogą zostać *zwyczajnymi członkami*, odprawiając co rok *jedną* Mszę św. i odstępując stypendyum na rzecz **Związku**.

WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE

PRZEGLĄD DZIEŁ X. BOSKO.

Turyn. — Oratoryum św. Franciszka Salezego.

ROCZNIK IX. Nr. 4. Wychodzą co miesiąc. KWIECIEŃ 1905.

TREŚĆ:

O chrześcijańskim duchu w rodzinie.

Rodzina to fundament, na którym spoczywa dobro społeczeństwa i Kościoła. Nie da się zaprzeczyć, że religia w parafii, w mieście, w kraju wzrasta lub upada — w miarę wzrostu lub upadku ducha chrześcijańskiego, czyli, że rodziny chrześcijańskie utrzymują ducha nadnaturalnego w parafii, w mieście, w kraju. — Rodziny te są niejako placówkami Kościoła, gdzie wzrastają prawdziwe jego dzieci i dobrzy obywatele, one są tą „rolą rodzajną," gdzie się rodzą i rozwijają jego wybrańcy, one są szlachetnemi szkółkami, skąd wychodzą kapłani, zakonnicy, zakonnice i dziewice.

Wiele słuszności ma za sobą zdanie, że przyszłość katolicyzmu zależy od wychowania szkolnego. Bezwątpienia wychowanie szkolne jest kwestyą żywotną, ale doświadczenie uczy, że zasady nawet najlepsze, wszczepiane w szkole, często nie wydają pomyślnych wyników, bo stają im na przeszkodzie złe wpływy domowe.

To też gorliwi pasterze wszystkich czasów starali się i starają usilnie o to, by duch chrześcijański kwitł w rodzinie. Idą w tem za przykładem Zbawiciela. Chrystus bowiem przyszedł właśnie po to na ziemię, by rodzinę, która wskutek obyczajów pogańskich stoczyła się w przepaść moralnego upadku, podźwi-

gnąć, podnieść, udoskonalić. W tym celu uświęcił ją przez ustanowienie Sakramentu małżeństwa i pragnie, by rodzina była świętą, by świętymi byli jej członkowie, świętem jej życie.

A na czem ta świętość polega? na czem polega ów duch chrześcijański, który ma ożywiać i uświęcać domowe ognisko? Św. Paweł podaje w swych listach kodeks (zbiór) przedziwnych ustaw, gdzie wskazuje wyraźnie dwie cechy chrześcijańskiego ducha w rodzinie, a temi są: poszanowanie i posłuszeństwo władzy w myśl Chrystusa i wykonywanie tej władzy również po myśli Chrystusa.

Gdy chrześcijanin „z wiary żyje", to rozumie i słucha Tego, który jest „drogą, prawdą i żywotem", a słucha także jego zastępców.

Boski nasz Zbawiciel przyszedł przypomnieć rodzicom, że ich ojcostwo z nieba pochodzi, że otrzymali je dla celu jedynego, nadnaturalnego. Wzywa też wszystkie rodziny, by już tu na ziemi utworzyły jednę wielką społeczność, która kiedyś ma być cała w niebie. Pragnie, by każda rodzina była niejako świątynią — której członki tworzą jedno zgodne ciało pod władzą ojcowską, złączone bardziej miłością, aniżeli wspólnością pochodzenia, krwi. Nazywa Chrystus „wielkim" Sakrament, który jest podstawą tej świątyni.

Ołtarzem-krzyż, światłem ma być Ewangelia. Wszyscy członkowie tej świątyni mają wołać z Apostołem: „Jesteśmy dziełem Bożem, mamy obowiązek czynienia dobrego, aby osiągnąć cel, jaki nam Bóg przeznaczył."

Przeczytajmy teraz z listu św. Pawła, co Zbawiciel kazał każdemu z nas czynić; „Żony niech będą poddane mężom swoim, jako Panu" — to zn. niech żona czci i szanuje swego męża. „Synowie, bądźcie posłuszni rodzicom waszym w Panu, bo to jest sprawiedliwa... Czcij ojca i matkę twoją. Słudzy, posłuszni bądźcie panom z bojaźnią i ze drżeniem, w prostości serca waszego, jako Chrystusowi". — Oto przepisy dla podwładnych.

„Mężowie, miłujcie żony wasze — niech każdy miłuje żonę swoją, jako siebie samego. A wy, ojcowie, nie pobudzajcie ku gniewowi synów waszych, ale je zachowajcie w karności i grozie pańskiej, dając im dobry przykład. A wy panowie, bądźcie dobrymi względem sług" — oto przepisy dla przełożonych.

Te obowiązki zawierają tylko to, co sam rozum nakazuje. Duch chrześcijański nie polega jedynie na bezwzględnem, akuratnem wypełnianiu tego wszystkiego, ale na tem, by być wiernym tym obowiązkom dlatego, że Chrystus tego chce i tak, jak Chrystus chce. Niemożebną jest rzeczą wytrwać w dobrem bez pobudki nadnaturalnej i bez łaski Bożej. Otóż wiara sprowadza z nieba tę siłę wytrwania. Im żywszą jest wiara w rodzinie, tem większy jest wstręt do grzechu, tem większem jest pragnienie podobania się Chrystusowi we wszystkiem. To i tylko to jest podstawą i wierności w chrześcijańskiem małżeństwie i niezachwianej czci dla rodziców i stałego posłuszeństwa nawet w wieku mło-

dzieńczym bardzo pochopnym i zmiennym. To sprawia, że chrześcijanin zwycięża przeszkody, jakie napotyka na drodze do zbawienia i znajduje dosyć woli, energii, zaparcia się i siły, by nie zważać na przykre strony obowiązków, lecz by je wypełniać chętnie i ochoczo.

Taki jest ów niezrównany kodeks praw, które normują posłuszeństwo chrześcijańskie, odnośnie do potrójnego stosunku zwierzchności rodzinnej. Jak szczęśliwe i święte są te domy, w których te prawa panują!

Ale potrzeba, aby zwierzchnik, jako „władzę mający,“ sam okazywał ducha chrześcijańskiego względem tych, którzy go słuchać mają. Zwyczajnie taki duch ożywia dom, rodzinę, jakim się rządzi ojciec, rodzice. Jeżeli są dobrymi chrześcijanami, sami „z wiary żyją,“ są pobożni, cnotliwi, to cały dom, cała rodzina idzie za ich przykładem. A jeżeli rodzice są obojętni we wierze lub niereligijni, jeżeli pochłania ich troska o dobra doczesne, jeśli nie odczuwają powabu cnoty a może nawet dają zgorszenie — wówczas smutny stan przedstawia rodzina, bo rodzina jest taką, jaką ją uczynią rodzice. Co za odpowiedzialność na nich cięży! I czem się to dzieje, że tak wielka liczba rodziców nie zna lub zdaje się, że nie zna swoich obowiązków? Św. Paweł dokładnie przedstawia, jaką powinna być matka rodziny chrześcijańskiej.

Porównując ją z Kościołem, mówi wyraźnie, jak wielką powinna być jej świętość, wiara, pobożność i serdeczność w okazywaniu swej władzy, bo i matka władzę posiada. A gdy się zwraca do głowy domu, do męża, mówi:

„Mężowie, miłujcie żony wasze, jak Chrystus umiłował Kościół.“— Ta niezmierna miłość Jezusa Chrystusa, który się wydał za cały Kościół i pozostał w nim, aby go uświęcić, ta miłość jest najwyższą regułą, która powinna miarkować wykonywanie władzy ojcowskiej, i tylko wtedy wychowanie jest należyte, w domu panuje ład, spokój i prawdziwe szczęście.

Każdy przyznać musi, że św. Paweł podaje dokładne wskazówki, przepisy życia doskonałego, chrześcijańskiego. A co się dzieje w rodzinach, w których niema ducha chrześcijańskiego? Gdzie się podziała wiara? Czyż w takich rodzinach może „rozum“ potrafi utrzymać członków rodziny w posłuszeństwie i zmusić ich do wykonywania swoich obowiązków? Czyż regułą postępowania nie jest tam kaprys, rozkosz, pycha, ambicya albo fałszywy wzgląd na świat, na ludzi? Do jakiego upadku dochodzą nieraz tacy ludzie, jakich opłakania godnych występków się dopuszczają! „Puszcza je Bóg za żądzami serca ich“ — i słusznie ich w ten sposób karze. Ani pokoju, ani rozrywki uczciwej, ani szczęścia prawdziwego rodzina taka nie zazna. To też wielki papież Leon XIII, widząc ten zanik ducha chrześcijańskiego w rodzinach, wzywa ojców, matki i dzieci do naśladowania Świętej Rodziny, gdzie miłość najszczytniejsza kierowała całem życiem Najśw. Maryi Panny, św. Józefa, gdzie również Boskie Dzieciątko, poddane swoim rodzicom, wzrastało w latach, mądrości i łasce u Boga i u ludzi.

To najpiękniejszy wzór i dla rodziców i dla dzieci.

REPREZENTANT NAJPRZEW. X. MICHAŁA RUA

w Ameryce.

(Pokłosie z listów X. Calogero Gusmano).

(Ciąg dalszy).

Do Wenezueli.

Wyjeżdżając z Bogotá.

W Kolumbii otoczono reprezentanta Następcy ks. Bosko tak powszechnym szacunkiem, że w chwili odjazdu niepodobna było nie czuć wdzięczności i głębokiego żalu. Szczególnie w Bogotá zdawało się, jakoby się obywatelstwo, władze rządowe i kościelne skojarzyły celem uczczenia Zgromadzenia Salezyańskiego; a chociaż krótki był pobyt nasz w tem mieście, jednakże było bardzo wielu tych, którzy się pragnęli zapoznać osobiście z księdzem Alberą.

Delegat Apostolski zaprosił nas na obiad, i z Jego Ekscelencyą arcybiskupem Bogotá zaszczycił nasz zakład swoją wizytą, którą pragnął przedewszystkiem uczcić ks. Alberę i zgromadzić około siebie najgłówniejszych dobrodziejów dzieła salezyańskiego. Sam Prezydent rzplitej, dr. Marroquin, w towarzystwie jenerała Edwarda Briceño przybył z wizytą, oświadczając, że czynił to nie tylko jako dodrodziej i wielbiciel dobroczynnego dzieła ks. Bosko, lecz także jako pierwszy przedstawiciel władzy, by publicznie okazać wdzięczność, jaką czuje względem Salezyanów za dobro zdziałane przez nich w rzplitej, szczególnie za pomocą lazaretów. Później nieraz jeszcze okazał on nam wielkie uszanowanie przyjmując nas w swoim pałacu i rozporządzając, aby nas w pewnych okolicznościach wiozły specyalne pociągi.

Tej samej czci i miłości doznaliśmy także i w innych miejscowościach tej republiki; władze cywilne i wojskowe przybywały składać uszanowanie wizytatorowi salezyańskiemu a często otrzymywały w tym względzie od rządu centralnego telegraficzne polecenia. Nieszczęścia tego szlachetnego narodu, stanowiące niejako jego koronę męczeńską, wzbudzały w naszem sercu nadzieję, że wkrótce nadejdzie dzień, w którym powszechny pokój uszczęśliwi ten kraj.

Dnia 29go października o świcie odprawił ks. Albera Mszę św. wspólną i pożegnawszy się czule z wszystkimi, odjechał. Na dworcu oczekiwało nas wielu dobrodziejów i przyjaciół, którzy życzyli nam pomyślnej podróży. Gdy nasze muły wprowadzono do wagonu, weszliśmy do pociągu w towarzystwie niektórych współbraci, którzy nas chcieli odprowadzić do ostatniego dworca kolejowego, Facatitivà, oddalonego dwie godziny drogi od stolicy. Tam zmieniliśmy nasz strój i z białemi *ponchos* na ramionach i z szerokiemi kapeluszami na głowach rozpoczęliśmy znów nasze życie konne. Towarzyszył nam ks. Rabagliati, przywołany nagle do okręgu Antyochii w sprawie lazaretów i wysłany przez ks. Alberę do stolicy Medellin celem porozumienia się względem nowego domu dla rzemieślników, który tam ma być otworzony; ta budowa leżała nam bardzo na sercu, bo wiedzieliśmy, że obfitowały tam dobre powołania.

Powrót.

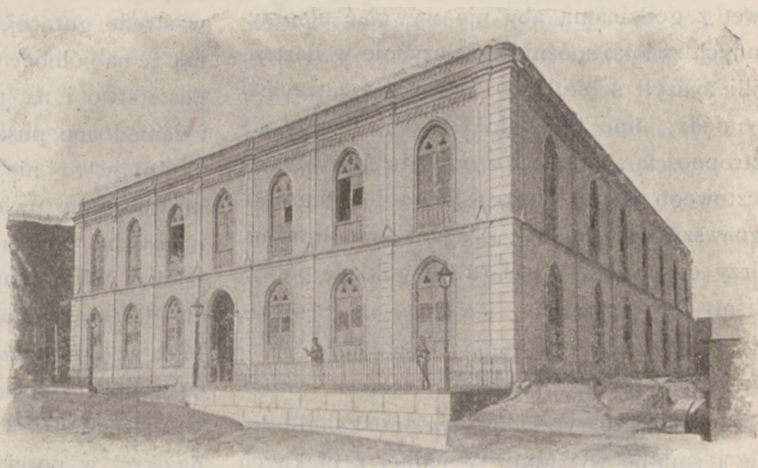
Wracaliśmy tą samą drogą, którą byliśmy przybyli i nie brakło wypadków mniej lub więcej nieprzyjemnych i śmiesznych. Czem upał słoneczny stawał się straszniejszy, tem więcej zbliżaliśmy się do brzegu. Osłabione muły wypowiedziały posłuszeństwo: musieliśmy nie tylko zsiąść ale i krzyczeć i bić, aby się z miejsca

ruszyły. Drugiego dnia musiałem się wrócić o parę godzin drogi na miejsce nocnego wypoczynku, aby zabrać zapomnianą rzecz, tak że przez pół dnia nie mogłem dognać towarzyszy i zmordowałem się nie mało, zwłaszcza z powodu kaprysów mulicy. Cierpiałem nieznośne pragnienie; spostrzegłszy więc jakiś dom, zbliżyłem się i prosiłem o jaki napój... dano mi szklankę piwa... za którą musiałem zapłacić 15 pesos! Orzeźwiwszy się nieco ruszyłem dalej i złączyłem się z ks. Alberą, który mnie niecierpliwie oczekiwał na umówionem miejscu. Ostatnie trzy dni naszej konnej podróży były bardzo bolesne. Przybywszy do Honda udaliśmy się prosto do szpitalu Sióstr miłosierdzia i upadliśmy na krzesła jak martwe ciała. W dodatku w drodze straciliśmy kapelusze kapłańskie, których przez długi czas za żadną cenę nie mogliśmy nabyć. Byliśmy więc smuszeni pokrywać się przez 15 dni, czyli do Curaçau, słomianymi kapelusiskami, które stanowiły prawdziwy kontrast z naszą czarną sutaną. Ks. Albera ucierpiał przez to bardzo wiele a jego sekretarz martwił się myślą, że jeżeli kto, to on właśnie ponosił winę tej straty!...

W Hondzie grasowały niektóre choroby zaraźliwe; szpitał i inne domy były przepełnione chorymi; nie było roztropnością nocować w gospodzie, jaką sobie wyszukaliśmy; na szczęście ustąpił nam pewien dobrodziej pokój, gdzie mogliśmy sobie spokojnie odpocząć; do gospody chodziliśmy tylko jeść.

W Hondzie.

Wiecznością zdawał nam się pięciodniowy pobyt w tem mieście niepewnem i podobnem do pieca rozpalonego! Spędzaliśmy dzień wystawiając się na przeciągi powietrzne i siedząc na kołyszących się krzesłach, aby się nieco ochłodzić i poruszyć powietrze ciężkie i duszne. I kto wie jak długo bylibyśmy musieli czekać, gdyby nasz dobroduszny przyjaciel, Jenerał Briceño, w imieniu Prezydenta nie był nas polecił gubernatorowi Garcii, by nam dopomógł wsiąść na okręt jak najprędzej. Gdy się przedstawiłem kapitanowi *Alicii*, powołał mnie na stronę, mówiąc: « Niech Ojciec nie podróżuje na moim okręcie, jeżeli nie chce wystawić na niebezpieczeństwo własnego życia i życia przełożonego: mój statek został podczas tej nieszczęsnej rewolucyi przeznaczony na szpitał, i nie mógłbym policzyć tych, co w nim umarli na różne choroby zaraźliwe; oprócz tego jest on pozbawiony wszelkiej wygody a nawet



Zakład salezyański w Caracas.

i żywności. » Postanowiliśmy jednakże odjechać: Pan Bóg tylko wie, ile ks. Albera musiał wycierpieć podczas tej podróży, gdyż podawany pokarm nie tylko nie był zastosowany do jego słabego żołądka, ale był co do ilości zupełnie nie wystarczający; trzy szklanki służyły dla przeszło 20 pasażerów pierwszej klasy a jednak trzeba się było konieczne napić wody, aby połknąć podawane nam pokarmy. Nie było miejsca by się schronić podczas godzin wielkiego upału, a z powodu zaraźliwych wyziewów, jakimi okręt był napełniony, byliśmy zmuszeni spać nocą na pokładzie. Do tego trzeba dodać obawę by nie ugrząść w mieliźnie, co się różnym okrętom już zdarzyło...

Ku Wenezueli.

Dnia 12go listopada mogliśmy znów zabawić przez parę godzin u naszych współbraci w Barranquilli; poprzedniego wieczora zatrzymał się nasz okręt w porcie *Calamar* blizko statku, który wiózł słynnego *Uribe Uribe* burzyciela i wodza tej nieszczęsnej rewolucyi. Z jego poddaniem się można było powiedzieć, że rewolucya skończona, i myśmy się oddalali zadowoleni z tego faktu, który przywracał pokój narodowi godnemu pomyślniejszego losu.

W dłuższych podróżach trzeba się liczyć nawet z godzinami, aby nie wywołać nieprzyjemnych zwłok i spóźnień. Salezyanie w Barranquilli życzyli sobie, by Przełożony zatrzymał się między nimi kilka dni. Lecz zdawało się roztropnością skorzystać z odjazdu *Montevideo*, pocztowego statku hiszpańskiego i dlatego pożegnawszy się czule z drogimi współbraćmi, którzy odprowadzili nas aż na pokład, popłynęliśmy ku Wenezueli.

Smutna pamiątka.

Wenezuela przypomina synom ks. Bosko miłe i smutne wypadki. W jednej z pięknych wiosek otaczających największy port Wenezueli, leżą pochowane zwłoki jednego z naszych współbraci, kleryka Józefa Eterno, który przeznaczony do Kolumbii zachorował ciężko w podróży i miał zaledwie czas wysiąść na ląd, gdzie po kilku godzinach umarł jako szlachetna ofiara swego powołania. Był to pierwszy z tylu misyonarzy salezyańskich, który nie dotarł na miejsce swego przeznaczenia. Uczciwi Wenezuelanie przyłączając się do naszej boleści, uważali ten wypadek za szczęśliwą przepowiednię i mówią, że był on nasieniem Salezyanów na ich ziemi. Tak się istotnie stało dzięki gorliwości i działalności niektórych księży, zajmujących obecnie główne urzędy w archidyecezyi. Pogrzeb był uroczysty; ze stolicy przybyli arcydyakon kościoła katedralnego, dr. Arteaga, i kilku proboszczów z pobliskich wiosek; użyto wozu pierwszej klasy a pogrzeb i grób sprawiony ich kosztem były wielkim dowodem szacunku względem Salezyanów, których zaledwie poznawać poczęli. Gdy później udawaliśmy się pociągiem aż do Caracas, nie mogliśmy odwrócić ócz od szpitalu w Maiquetia, gdzie nasz drogi współbrat był skonał i od cmentarza, na którym spoczywają jego zwłoki.

Rewolucya także we Wenezueli.

Wenezuela liczy zaledwo półtrzecia miliona mieszkańców, porozrzucanych na powierzchni 942.000 km. kwadratowych. Chociaż leży w strefie gorącej, ma jednakże różne klimaty, tak że na północy przeważa rolnictwo, w środku pasterstwo i na południu obfitują gęste lasy i zaniedbane puszcze.

Gdyby to nie było faktem historycznym, nie możnaby uwierzyć, że także we Wenezueli panowała rewolucya, rozlewająca krew braterską. Wyjeżdżając z Kolumbii celem uniknięcia daremnych wydatków, zakupiliśmy sobie bilet aż do *Porto Cabello*; stąd zamierzaliśmy ruszyć dalej pociągiem aż do naszego domu w Valencii i w Caracas, a następnie wsiadłszy na okręt w porcie Guayra, udać się do naszego zakładu św. Rafała w Maracaibo i zatrzymać się na wyspie Curaçao, gdzie także przebywają niektórzy z naszych współbraci. Lecz nie wiedzieliśmy bynajmniej, że pociągi mogą być zatrzymane i zrabowane przez rewolucyonistów; wprawdzie nie wyrządzali oni nic złego osobom, ale przywłaszczali sobie co mogli; więc przybywszy do Porto Cabello, byliśmy zmuszeni odstąpić od zamierzonej podróży i udać się wprost do Guayra. Ile nam robiono trudności! Ilu pozwoleństw wymagano od nas, nim nas dopuszczono do zakupienia biletów i zatelegrafowania do naszych współbraci!

W Caracas.

Wieczorem 16go listopada znajdowaliśmy się w Guayra, noc spędziliśmy w hotelu a nazajutrz przed świtem odjechaliśmy pociągiem,

który oddalał się z szybkością wśród licznych czarujących widoków przyrody.

W niespełna czterech godzinach znajdowaliśmy się w Caracas, stolicy Wenezueli, liczącej blizko 80.000 mieszkańców. Miasto to wznosi się na wzgórzu jako majestatyczna matrona otoczona białemi wieżami i skromnemi chatkami; ponad niemi wzbijają się ku niebu wierzchołki licznych drzew jakby na znak ciągłej i ciepłej wiosny. Europejczykom jednakże przyzwyczajonym do zmiany pory, staje się ta jednostajność klimatu nieco ciężką.

Przed naszem przybyciem do Caracas przybył nam naprzeciw w towarzystwie niektórych wychowanków naszego zakładu, dr. Arteaga, dyrektor Pomocników salezyańskich. Na dworcu zastaliśmy różnych Pomocników, którzy nas serdecznie powitali; w zakładzie oczekiwało nas przeszło 200 chłopaków dobrze uporządkowanych, podczas gdy inni z towarzyszeniem kapeli odśpiewali hymn narodowy. Podczas wieczorka urządzonego na cześć ks. Albery, wychowankowie wynurzyli mu swoje wielkie zadowolenie z wizyty, a Pomocnicy okazali mu swe szczere przywiązanie do dzieła ks. Bosko. W rzeczywistości trzeba wyznać, że wiele tu uczyniono, jeżeli w czasie rewolucyi zdołano wznieść jedno skrzydło wspaniałego budynku, mogącego pomieścić 100 internistów, i ukończyć niemal całkowicie kościół bardzo potrzebny dla tej części miasta. Nasi współbracia mają na myśli jeszcze inne dzieła dobroczynne, które zapewnie wykonają, gdy zostanie przywrócony pokój.

W Valencii.

Dnia 21. listopada ruszyliśmy ku Valencii, gdzie przybyliśmy po siedmiogodzinnej jeździe kolejowej; ks. Foglino, przełożony tych domów, który nam towarzyszył, pokazał nam miejsce, gdzie w jego ostatniej podróży pociąg przez rewolucyonistów został zatrzymany i gdzie on się schronił, by uniknąć wszelkiego niebezpieczeństwa. W Valencii panował wielki ruch aby szczerze przyjąć wizytatora salezyańskiego; po za wozem ks. Albery jechało wiele powozów naszych pomocników. Kościół, w którym miano odśpiewać *Te Deum*, był przepełniony. Ten uroczysty znak miłości powtarza się w dniu wieczorka danego na cześć reprezentanta ks. Rua. Całe duchowieństwo, czyli kanonicy, rektor seminaryum, proboszczowie i t. d. przyszło na kolacyę wydaną przez nich w zakładzie salezyańskim na cześć ks. Albery. Po raz pierwszy znajdowaliśmy się w towarzystwie samych osób duchownych. Ks. Albera widział w tym fakcie pomyślny objaw rozwoju naszego zakładu, którego postęp tylko wojna paraliżowała.

Salezyanie pracują nawet po za zakładem, pomagając proboszczowi Arocha, prawdziwemu przyjacielowi synów ks. Bosko, zajmując się blizkim szpitalem i różnymi zakonami żeńskimi oraz urządzając misye. Jest nadzieja, że w najbliższym czasie ukończą kościół. Niech Pan Bóg pobłogosławi pracom i trudom tych współbraci oraz uczciwym zamiarom przezacnych naszych pomocników.

W Valencii pomimo niezmiernych upałów bardzo szybko przeleciały dni ks. Alberze, zatrudnionemu rozmową z każdym z naszych współbraci i przyjmowaniem i składaniem wizyt. Pewien poczciwy kapłan, którego Pan Bóg ostro doświadczał, już od przeszło sześciu miesięcy nie odważał się przystępować do ołtarza: mimo różnych środków nie było można go przekonać. Czuł się niegodnym ofiarowania Mszy św. a przytem stan jego zdrowia ciągle się pogarszał. Dopiero ks. Albera po kilku czułych i serdecznych rozmowach zdołał go nakłonić i asystował mu 26^{go} listopada przy Mszy św. Świątobliwy kapłan nie wiedział jak wynurzyć ogromną wdzięczność temu, który mu przywrócił pokój serca; jeszcze teraz w swoich listach wspomina wyświadczone mu dobrodziejstwo.

Z Maracaibo do św. Rafała.

Z Valencii, z powodu rewolucyi, nie można było pójść do Porto Cabello i byliśmy zmu-

szeni przedłużyć naszą podróż, wracając do Caracas a stąd do Guayra, by pierwszym okrętem udać się do Maracaibo. W niespełna jednym dniu przybyliśmy do tego miasta, które pod względem ludności i ważności stoi na drugiem miejscu w rzeczypospolitej. OO. Kapucyni i Augustyanie przyjęli nas bardzo grzecznie; nie mamy tu jeszcze żadnego zakładu, mimo że ludność bardzo sobie tego życzy; skromny i początkujący dopiero zakład znajduje się w poblizkiej wiosce Św. Rafała, leżącej po za jeziorem Maracaibo. Niema tu statków parowych i długość podróży zależy od wiatrów: nieraz statki żaglowe zmuszone są stać całemi godzinami w połowie drogi. Nam się przytrafiło coś innego: odpłynęliśmy około 9[tej] wieczorem. Bardzo silny wiatr obalił przedewszystkiem pewnego braciszka Kapucyna, który na szczęście został przez ks. Albera powstrzymany za habit. Później łódź nasza tak się kołysała na wszystkie strony, że obawialiśmy się każdej chwili niepotrzebnej kąpieli. Łódź wydawała nieznośny fetor; kto wie ile razy była przepełniona rybami! pomimo tego wskutek słabości rzuciłem się niebawem w objęcia Morfeusza; przeciwnie ks. Albera, nie mając przykrycia i nie mogąc znieść gwałtownego ruchu statku i chłodu, wyznał mi nazajutrz, iż tę noc można zaliczyć do najgorszych.

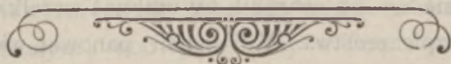


Port Guayra (Wenezuela).

Z wielką radością przywitali nas współbracia zakładu św. Rafała: ich 40 wychowanków, duchowieństwo i pomocnicy byli nam bardzo przychylni. Znajdujemy tu wszędzie biedę, przypominamy sobie początki dzieł ks. Bosko i podziwiamy poświęcenie naszych współbraci. Szkoda, że położenie zakładu nie pozwala mu dalej się rozszerzać.

W powrocie towarzyszył nam nasz ks. Solari, powołany z kazaniem na uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi do twierdzy św. Karola i do pewnej poblizkiej wioski. Zwiedziliśmy główną twierdzę Wenezueli, zawierającą w sobie parę set więźniów politycznych, i nie przyszło nam bynajmniej na myśl, że wkrótce ulegnie zburzeniu.

(Ciąg dalszy nastąpi).



MISYE SALEZYAŃSKIE

Misyonarze, którzy wyjechali w październiku, listopadzie i grudniu z. r., przybyli wszyscy szczęśliwie na miejsce swego przeznaczenia. Chwała i cześć zato Najwyższemu i serdeczne « Bóg zapłać » wszystkim tym, którzy ich polecali Panu Bogu w swych gorących modłach.

MATTO-GROSSO (Brazylia).

Z Osady Najsł. Serca.

Pociechy dzikich malców.

(List ks. Jana Balzoli).

Barreiro (Araguaya), Osada Najsł. Serca Jezusowego, w dzień Wszystkich Świętych 1904 r.

Przewielebny Księże Rua!

Zapewnie drogi Ojciec oczekuje już z niepokojem wiadomości o tej Osadzie, którą tak wielce miłuje. Dzięki Najsłodszemu Sercu Pana Jezusa, które widocznie ma nas w opiece, i Najśw. Maryi Wspomożycielce, naszej dobrej Matce, wszystko nam się wiedzie pomyślnie i regularnie. Lecz trzeba nam liczniejszego personału, bo jeżeli z dnia na dzień praca i winnica się powiększa, to równocześnie daje nam się we znaki także brak robotników. Pociesza mnie jednakże myśl, iż prawie dzisiaj, gdy otoczony kilku dzikusami piszę Ojcu ten list, w Świątyni Najśw. Maryi Wspomożycielki w Turynie odbywa się prawdopodobnie nabożeństwo za odjeżdżających misyonarzy; i jestem przekonany, że niektórzy z nich są przeznaczeni do naszej osady. Myślę, że nie zawiodą te nadzieje, słyszałem bowiem, że najdroższy Ojciec już przeznaczył naszemu inspektorowi ks. Malan piękną gromadkę robotników ewangelicznych; ja w imieniu mych współbraci i wszystkich Indyan kolonii i z pobliża dziękuję Ojcu jak najserdeczniej za to dobrodziejstwo. Po nadejściu pomocy będziemy mogli działać więcej a może dwakroć tyle.

Najdrożsi nasi Indyanie czynią wielkie postępy. Tego roku niemal wszyscy przygotowali sobie kawałek ziemi do zasiewu, szczególniej kukurudzy. Owszem, prawie w tych dniach przybyli inni Indyanie z Rio das Mortes celem nabycia kukurudzy do zasiewu, gdyż przekonali się, że za naszym przykładem trzeba siać, aby módz zbierać owoce. Przybył taksamo *Bari* Michał, który już przed kilku miesiącami opuścił był naszą Kolonię, i powiedział mi, że także i on ze swoimi towarzyszami życzy sobie kukurudzy do zasiewu, ponieważ w odległości dwudziestu kilometrów przygotowali w tym celu spory kawałek ziemi. Naturalnie zadosyć uczyniłem jego życzeniu, lecz wynurzyłem mu także swój wielki żal z tego powodu, że porzucił Kolonię i zabrał ze sobą niektóre dzieci, któreby się mogły dobrze odznaczyć w szkołach. Biedny *Bari* zapewniał mnie, że gdy zasieje kukurudzę, znów powróci do nas a tymczasem zostawił nam troje dzieci, które był zabrał ze sobą. Atoli w chwili odjazdu matka dwóch

z tych chłopczyków przybliżyła się do szkoły i poczęła wołać mniejszego, miłego pięcioletniego chłopaczka. Ten jednakże spostrzegłszy, że matka chce go znowu zaprowadzić daleko w lasy, zaczął płakać i krzyczeć w niebogłosy. Matka nalegała. Ja usiłowałem nakłonić ją do zostawienia chłopczyka, ale nadaremnie; odpowiedziała mi, że musi go absolutnie wziąć ze sobą, gdyż karmi się jeszcze mlekiem! Patrząc na dziecko opierające się ciągle żądaniu matki, przekonałem się, że było to tylko wymówką, czyli raczej kłamstwem i zapewniłem ją, że będziemy mu podawać pokarm zastosowany do jego żołądka. Po niejakimś czasie matka musiała ustąpić, zwyciężona nie mojemi słowy, lecz płaczem dziecka... Oto, najdroższy Ojcze, dowód miłości, jaką się do nas dzieci przywiązały a zarazem pochlebny dowód dobra, jakie będziemy mogli zdziałać za ich pośrednictwem i pomocą na korzyść ich dorosłych krewnych.

Sami nasi neofici opowiedzieli mi podobny przypadek. Gdy pewnego razu niektórzy z nich poszli zwiedzić aldeę w *Rio das Mortes*, spotkali małego Inocentego, byłego towarzysza szkolnego, który słysząc, że oni wracają do kolonii, chciał im koniecznie towarzyszyć i istotnie ruszył z nimi w podróż. Lecz gdy to matka spostrzegła, pobiegła za nim aby go zatrzymać, i mimo płaczu i próśb dziecka zabrała je ze sobą. Biedny chłopak! kto wie ile musi cierpieć, będąc przez tak długi czas oddalony od nas!

Jak najdroższy ks. Rua widzi, Borörös są bardzo do nas przywiązani. Pocieszam się nadzieją, że z czasem wiele innych dzieci będzie mogło otrzymać przez synów ks. Bosko wiarę oraz dobre i doskonałe wychowanie. Jak mamy być wdzięczni Panu Bogu, że raczył nas wybrać swymi apostołami w tem dziele odrodzenia, i jak się mają cieszyć w Panu ci, którzy nas wspomagają swemi hojnemi ofiarami!

Na pociechę czcigodnego Ojca i naszych zacnych dobrodziejów dodaję niektóre pocieszające nowiny.

Postęp naszych uczniów jest uderzający. Niektórzy biorą już drugą książkę ćwiczeń, a wszyscy odmawiają na pamięć modlitwy ranne i wieczorne według *Młodzieńca Zaopatrzonego* z wyjątkiem *aktu wiary, nadziei i miłości*. Lecz i tych zapoczęli się już uczyć i to z dosyć wielką łatwością.

Rozpoczęliśmy taksamo naukę ceremonii kościelnych i niektórzy z nich służyli już w sukienkach kleryckich do błogosławieństwa Przenajśw. Sakramentem. Spodziewam się, że w uroczystość jubileuszową niektórzy będą mogli służyć przy ołtarzu, w białej sukience, wyrobionej z bawełny, jakiej używamy do szycia odzieży. Jesteśmy ubodzy, bardzo ubodzy, lecz nasza Matka niebieska przyjmie z serca nasze skromne hołdy. Postanowiliśmy również ochrzcić w tę uroczystość pięcioro dzieci. Drogi Ojciec niezawodnie pamięta, że zeszłego roku właśnie w uroczystość 8go grudnia udzieliliśmy uroczyście pierwszego chrztu w tej kolonii. Tego roku, dołączając także tych pięciu nowochrzczeńców, będziemy mogli z naszą radością przedstawić Najśw. Pannie Niepokalanej wianek uwity z 64 nowych chrześcijan. Większa ich część czci Ją śpiewem pieśni kościelnych i nabożnem odmawianiem modlitw. Mamy więc wielką nadzieję, iż w tym dniu uroczystym Najśw. Marya Panna raczy spoglądać z miłosierdziem i upodobaniem także na nasze puszcze.

Kończę wiadomością przez się nie bardzo miłą, ale bynajmniej nie przestraszającą. W tych oto dniach nawiedziła nas influenca, która, zdaje się, zagraża każdemu z Indyan. Lecz dzięki Panu Bogu, jest łagodna; po dwudniowej silnej gorączce opuszcza pacyenta. Ponieważ w wiosce niema ani jednego *Bari*, czyli *kapłana*, który sam tylko ma prawo błogosławić i ekzorcyzmować chorujących, są zmuszeni udawać się do nas; ja zaś znając dobrze chorobę, przepisuję im lekarstwo i zapewniam zarazem, że w dwóch dniach wyzdrowieją. Do tego czasu mniej więcej zawsze prawdę wyprorokowałem, a przez to powiększyła się ufność do misyonarzy. Niech sobie Ojciec wyobrazi: przychodząc błagać o naszą pomoc, mówią wyraźnie, żeby ich polecano wielkiemu *Papai*, wielkiemu *Ojcu*, czyli Panu Bogu!...

Już od kilku miesięcy mieszkamy bez *Bari*, są bowiem obecnie na polowaniu; ich nieobecność daje się wszystkim we znaki: nasi osadnicy wydawają się ludnością bez proboszcza! Gdy zabijają jedno z tych zwierząt, które mają być przed-

stawione *Bopemu* lub *Marebbemu*, niosą kawał mięsa do *Bari*, choćby na odległość 50 kilometrów, ażeby nad niem wypowiedział swe ekzorcyzmy. Kilka razy, śmiejąc się z ich naiwnej dobrej wiary, powiedziałem jm, by to mięso do mnie przynieśli, i zapewniałem, że uwolnię ich od wszelkiego niebezpieczeństwa. Odpowiadali mi zwykle śmiejąc się i mówiąc, iż po chrzcie jeść będą ze wszystkiego jak my. Biedaczyska! przekonywuję się coraz więcej o władzy, jaką miał szatan nad tymi naszymi braćmi, odkupionymi krwią naszego Zbawiciela Jezusa Chrystusa.

Spodziewając się, że te wiadomości pocieszą kochanego Ojca, proszę polecić nas naszym przezacnym Pomocnikom i modłom wszystkich tych, którzy się troszczą o chwałę Bożą i o zbawienie dusz.

Posłuszny i wdzięczny syn w Chrystusie

Ks. Jan Balzola.

EKWATOR.

Pomiędzy Iwarosami: pamiątki i nadzieje. Z Riobamby.

(List ks. Feliksa Tallachiniego).

Najdroższy ks. Rua!

W miesiącu lipcu po ukończeniu roku szkolnego wróciłem do Gualaquizy celem ukończenia *Gramatyki* i *Słownika w języku iwaroskim*, którym mówi tamtejsza ludność indyańska. Przez prawie cztery dni szedłem pieszo przez te lasy niedostępne, zanurzając się aż po za kolana w błocie wytworzonem przez ciągłe deszcze. Ile razy czułem się podczas tej podróży dumny, że jestem synem ks. Bosko i misyonarzem. Imię naszego czcigodnego założyciela jest znane wszystkim tym poczciwym ludnościom; wszyscy wymawiają je z poważaniem i wdzięcznością. Słyszałem taksamo, że wymawiano kilka razy z podziwieniem i miłością imię ks. biskupa Costamagni. Nieznużony ten Misyonarz, idąc i wracając z Gualaquizy, spełnia prawdziwe apostolstwo, miewając kazania, udzielając bierzmowania i słuchając przez kilka godzin z rzędu spowiedzi. Dobro zdziałane przez niego np. w prowincyi Oro, mogłoby stanowić samo przez się wspaniałą stronicę jego życia prawdziwie apostolskiego.

Od księdza biskupa właśnie otrzymałem obowiązek ukończenia wymienionych dwóch dzieł i dlatego też wybrał mnie za towarzysza w swej pierwszej misyi. Och! dlaczego to w *Wiadomościach Salezyańskich* nadmieniło się tylko o niej, podczas gdy cała ta nasza misya została szeroko opisana? Całą winę ponosi niżej podpisany, który zamiast wysłać jak najprędzej sprawozdanie, chciał napisać wprost całą książkę na zbudowanie i przyjemność tych... którzy ją będą czytać! (1).

Teraz muszę powtórzyć z głębi serca życzenie, jakie miałem ciągle na ustach podczas mego miesięcznego pobytu w Gualaquizie, podziwiając niezmierny i bujny wschód Ekwatoryański: « Panie, spraw, by nareszcie tryumfowała w tym wielkim narodzie Iwarosów twoja Religia! ». Jeżeli szatan nie wystąpi do nowego boju i nie pokusi się o nowe zwycięstwo, można się wiele spodziewać po tych nieszczęśliwych dzikusach.

Po moim powrocie do Cuenca zostałem zawołany do Riobamby z nowenną kazań na cześć Najśw. Maryi Panny de Mercede. Podczas tej czterodniowej podróży skorzystałem z okazyi, przemawiałem do naszych Pomocników i, gdzie tylko mogłem, zbierałem około proboszcza gromadkę robotników i młodzieniaszków, celem zawiązania jakiego towarzystwa katolickiego.

I otóż jestem znów w Riobambie, skąd przysyłam niektóre wiadomości częścią pocieszające, częścią smutne.

Z gorliwą pomocą katolickiej ludności, chociaż były to czasy krytyczne, nasz inspektor wspomagany przez ks. Garcia, przywiódł budowę świątyni prawie do ukończenia; dzieło to jeżeli nie jest ogromne, jest przecież bardzo ważne dla potrzeby wiernych. Rysunek został skreślony przez braciszka Jacka Pancheriego.

(1) Istotnie otrzymaliśmy już jedną część tej książki, o której nadmienia nasz misyonarz. Ponieważ jednak nie możemy podać wszystkiego w *Wiadomościach Salezyańskich*, ogłaszamy tylko pierwszy rozdział, w którym jest opisane przybycie ks. biskupa Costamagni do Gualaquizy, i który tak dobrze charakteryzuje szczep Iwarosów, że daje dość jasne pojęcie o tych Indyanach, o których przechowie się piękna stronica w historyi najcharakterystyczniejszych szczepów amerykańskich.

W pierwszym dniu nowenny Przewiel. Wikaryusz dyecezyi, w zastępstwie ks. biskupa, poświęcił nowy kościół wobec wielkiego tłumu ludu i w obecności różnych i licznych duchownych.

Ponieważ uroczystość miała zlać się z jubileuszem Niepokalanie Poczętej, kazał sławny mowca kanonik Feliks Proaño, dziekan kapitularny i promotor świąt maryańskich.

Z każdym dniem nowenny przybywało wiernych biorących udział w nabożeństwach. Uroczystość była nadzwyczaj wspaniała i pocieszająca z powodu licznych komunii św. Ażeby zaś zapewnić jej błogie skutki, odbyły się rekolekcye dla Pań należących do *Towarzystwa Najśw. Maryi Wspomożycielki* i dla Dobrodziejek Salezyańskich. Tak skończyły się wakacye i rozpoczęliśmy rok szkolny z przybyciem naszych wychowanków. Zakład jest przepełniony internistami i eksternistami, studentami i rzemieślnikami, którzy stanowią najpiękniejsze nadzieje naszych serc.

Lecz!... najdroższy ks. Rua, ile rzeczy zawiera to zawieszenie.

Pośród tego chrześcijańskiego narodu, w tej *Rzeczypospolitej Najsł. Serca,* brak pokoju i szczęścia. Nie będę opisywał stanu tego kraju, ponieważ Przewiel. Ojciec zna go z gazet. Potrzebujemy pomocy gorliwych modlitw. Zresztą trzymamy się silnie i będziemy działać dla dobra bliźniego, póki nam zostanie trochę ziemi pod nogami.....

Pobłogosław, Najdroższy Ojcze, naszych współbraci a mianowicie najprzywiązańszego syna w Chrystusie Panu

Ks. Feliksa Tallachiniego.



Komitet uroczystości Maryańskich w Nictheroy (Brazylia).

Ks. biskup Costamagna w Gualaquizie (1).

Dolina Gualaquizy zdawała się ożywiać. Niebo łąki, lasy jaśniały niezwykłym blaskiem, jak gdyby chciały towarzyszyć radości chrześcijan i dzikusów i uroczystemu dźwiękowi dzwonów, rozchodzącemu się po tej ogromnej puszczy. Z lasu wychodzili od czasu do czasu mieszkańcy, których ogorzała i kasztanowata

(1) Zobacz uwagę w poprzednim liście.

skóra odbijała od zielonej roślinności. Pokazywali się to pojedynczo, to w towarzystwie; stawali, patrzeli naokoło aby się upewnić, czy im nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Potem zaczęli biegać po polach i lasach, rzucając przed się ostre dzidy, podczas gdy wiatr bawił się ich czarnymi włosami.

Wszędzie można było słyszeć pytania i odpowiedzi:

— Czy to prawda: że w misyi odbywa się wielka uroczystość?

— Rozumie się; i chcą nam podarować wiele rzeczy.

— A wiesz ty, że przybył l'*aparu obispo* (ojciec biskup)?

— Czyli raczej: *kapitan* chrześcijan.

— I jest on bardzo bogaty?

— Bardzo, bardzo. Posiada wielką ilość lusterek, naszyjników i noży; ma nawet strzelby, dzidy, koszule, płótno... i wszystkiego podostatkiem.

— *Maagke, maagke* (dobrze, dobrze). Jest on nam przychylny?

— O pewnie, ponieważ my Iwarosowie jesteśmy panami, królami puszczy.

Porządna gromadka dzikich zebrała się już w domu misyjnym. Zapełnili korytarze, wchodzili do wszystkich pokojów; chodzili po schodach tak silnym krokiem, że cały dom drżał; hałas i przerażające krzyki rozlegały się po całem zabudowaniu, aż nareszcie znaleźli pokój, gdzie przebywał ks. biskup. Tu się na chwilkę zatrzymali, wytrzeszczyli oczy, zbliżali się, dotykali się rąk, ubrania, pierścienia, krzyża biskupiego, poczem się głośno rozśmiali. Nadaremnie delikatniejsi usiłowali odwrócić nowoochrzczonych od tego zadziwienia. Hałas i śmiech stawał się coraz większym a ze wszystkich stron stawiano ks. biskupowi natrętne pytania:

— Jak się nazywasz? — Skąd pochodzisz? — Ile masz lat? — Gdzie masz twoje dary? — Prawda to, że nam podarujesz wszystkie rzeczy? — Mnie podarujesz twój niebieski *taraci* (1), a ja nim okryję moją żonę. — Mnie dasz pierścień, abym go sobie przywiesił do nosa. — Mnie znów łańcuch błyszczący jako słońce, a ja na nim zawieszę zęby małp lub lwów i pióra papugi.

Gdy oni stawiali te różne pytania i pretensye, wszedł piszący i niebawem zwróciły się ku niemu oczy wszystkich dzikich. Zamilkli z razu, później popatrzyli na mnie z zadziwieniem i znów parsknęli głośnym śmiechem.

— Dlaczego się śmiejecie? zapytałem.

— Ponieważ nam się podobasz, odpowiedzieli chórem.

— Może ty płaczesz, gdy ci się na śmiech zbiera? dodał jeden z nich.

Wtenczas i piszący się rozśmiał, co też powiększyło wesołość dzikusów.

— Musisz wiedzieć *apaci* (1), rzekł inny dzikus wysoki i otyły o wielkiej głowie i szerokich oczach, zwany *Nantipa*, musisz wiedzieć, że Siourasowie i Iwarosowie prawie zawsze się śmieją i prawie nigdy nie płaczą. Nie jest może lepiej śmiać się niż płakać?

Wybuch śmiechu potwierdził słowa filozofa. Gdy się trochę upamiętali z pierwszego zadziwienia, zaczęli się zbliżać do przyjaciela, będącego powodem ich śmiechu. Jeden mierzył się z nim, stając na końcach palców, inni dotykali się jego rąk, lica, ciągnęli go za wąsy i brodę dopiero wyrastającą. Co chwila wybuchali głośnym śmiechem.

— Więc ja jestem prawdziwie powodem waszej wesołości? zapytałem się.

— Tak! odpowiedzieli, a niektórzy dodali w języku hiszpańskim: « Jivaro riendo, vos jivaro cara estando » czyli « Iwarosowie się śmiejąc, ponieważ ty mając twarz Iwarosa ».

— Wyśmienicie, rzekł ks. biskup; od tego czasu będziecie go nazywali *aparu sioura* (ojciec Iwaro).

Gdy neofici zrozumieli znaczenie tych słów, rozległ się wesoły śmiech po całej dolinie.

— Ojciec Iwaro! Tak, tak ojciec Iwaro! powtórzył każdy przynajmniej dziesięć razy.

— Maagke, maagke (dobrze, dobrze). Iwarosowie nie mają brody, także i ty masz tylko krótką. Iwarosowie są wysocy i zwinni: ty jesteś większy od nas; dlatego zrobimy cię kapitanem. I chociaż ty jesteś biały a my czerwoni, to omalujemy ci twarz naszym *ipiacu* (2) i zostaniesz czerwony jak *iguanci* (dyabeł); pozwolisz żeby ci urosły włosy, które ofarbujemy *sullą* (3), czarną jak heban naszego

(1) Przez tę nazwę, oznaczającą suknię kobiecą, rozumieli płaszcz biskupi.

(1) *Apaci* jest to ściągnienie wyrazu zdrobniałego *aparuci*, ojciec. Oznaczają nim misyonarza a czasem także i chrześcijanina.

(2) Nasienie, które biali nazywają *aciote*.

(3) Inny rodzaj nasienia.

**

uwi (1) i damy ci *nanki* (dzidę) i *tzinzaca* (strzały) z *tzeasą* (trucizną), abyś zabił wiele małp i dzików. Tak, tak: *aparu sioura;* ojciec Iwaro; *nikatzan:* jest prawda. Będziemy cię bardzo kochali, jak ojca *Franciszka* i nie puścimy cię więcej. Takim sposobem *aparu obispo* pośle nam tyle podarunków, że nie będziemy wiedzieli gdzie je podziać.

Hałas i śmiech rosły jak bałwany morskie. W niektórych miejscach stały gromadki, w których Iwarosowie prowadzili gorące mowy nad wypadkami dnia. Równocześnie i bezustannie wszyscy rozmawiali, hałasowali, krzyczeli, potrząsając głową, wywijając rękami, nadymając piersi i brzuch na kształt miecha kowalskiego i wydając zarazem głosy najdziwaczniejsze, to podobne do szczekania psów, to do kwiku małp i ryku byków. Równocześnie padały ze wszystkich stron, jako deszcz, plwociny mówiących, tak że posadzka była całkowicie niemi zalana.

Czytelniku! Zbiera ci się na śmiech i podajesz w wątpliwość prawdę moich słów. A jednak mój umysł nie może znaleźć stosownych obrazów, by oddać dźwięki i różne głosy, których znakami przedstawić niepodobna, a które wychodziły nie tyle z ust, piersi i gardła, ile raczej z żołądka, z nosa i z głowy tych niezmordowanych mowców.

Gorący ten spór trwał przeszło pół godziny. Równocześnie przebieglejsi szukali po skrzynkach, po wszystkich workach i kieszeniach, aby znaleźć upragnione podarunki. Dla każdego się coś znalazło: lusterko, scyzoryk, igła, koszula, chusteczka; dla niektórych błyszczący medalik Najśw. Maryi Wspomożycielki, który ks. biskup przywieszał do sznurka pereł i korali, które dzicy noszą na szyi.

Wtem oto przybył ojciec Francisco, stary misyonarz i ojciec tych szczepów, z wiadrem napełnionem *ciccią* słodką i z koszem mieszczącym banany, *yuca*, ananas i *mote*.

Gdy mowcy to spostrzegli, naraz ustał wszystek hałas parlamentarny tak, jak przechodzi burza podczas lata.....

(Na zakończenie).

CHOELE-CHOEL (Patagonia północna). — *Litościwy czyn pewnego biednego Indyanina.* Z listu misyonarza ks. Dominika Anselmiego dowiadujemy się:

— « Od kilku dni powróciłem z misyi, przeszedłszy północną i południową część terrytoryum Rio Colorado. Czas nie był mi pomyślny, więc oprócz spowiedzi i komunii św. do których bardzo wielu przystąpiło, mogłem tylko 78 osobom chrztu udzielić i dać jeden ślub. Poświęciłem także cmentarz, przypominający miły wypadek, którego nie mogę opuścić.

« Dwa lata temu podczas misyi w Pichi Mahuida ochrzciłem pomiędzy innymi pewnego młodzieńca Indyanina mającego lat 17, który po należytem przygotowaniu, gdy pojął najgłówniejsze prawdy naszej św. wiary, został ku swej wielkiej radości przypuszczony do chrztu św. Ojciec chrzestny (zarazem jego pan) mówił mi, że od dawna chłopak Piquillin (tak go bowiem nazwano gdyż nie znało się jego rodziców), życzył sobie zostać chrześcijaninem i nieraz powtarzał: « Nie chcę, by mnie nazywano *Piquillin* i niewiernym; lecz chcę zostać chrześcijaninem. »

W listopadzie 1903 r. pan Valentin del Prado szedł sobie spokojnie po deskach na nieukończonym moście na rzece Colorado, gdy naraz, nie wiadomo jakim sposobem, spadły dwie z tych desek do gwałtownej rzeki a razem z niemi wpadł i pan Valentin. Był o tyle szczęśliwy, że niektórzy spostrzegłszy ten fakt, zaczęli krzyczeć: pomocy, pomocy! Pomiędzy innymi przybył także neofit, który po chrzcie został nazwany Ignacy Anzelm. Gdy zobaczył że jego ojciec chrzestny tonie, zakrzyknął: *Mój ojciec chrzestny się topi!* i bez zastanowienia się wsiadł na konia stojącego na brzegu i skoczył w wodę. Pan Bóg chciał wynagrodzić bohaterstwo tego wiernego sługi, wybawiając prawie cudownie ojca chrzestnego: lecz Ignacy Anzelm nie mógł mu dopomódz, ponieważ przybywszy na środek rzeki zanurzył się z koniem, a po chwili ukazał się koń bez jeźdźca. Zwłoki młodzieńca znaleziono po trzech dniach w odległości 15 kilometrów... Ojciec chrzestny zdziwiony i wdzięczny kazał wznieść na cmentarzu, który poświęciłem, wspaniały pomnik z napisem przypominającym bohaterstwo tego poczciwego młodzieńca.

Wszyscy zgromadzeni z tej okazyi na cmentarzu, przypominali ten wypadek i niejeden ojciec chrzestny opowiadał go swoim synom... Religia na każdem miejscu i w każdem sercu jest źródłem cnoty i bohaterstwa... »

(1) Rodzaj drzewa palmowego, mającego korę podobną do hebanu. Biali nazywają je *cionta*.

Wiadomości potoczne.

Europa.

TURYN. — Siedmnasta rocznica zgonu X. Bosko. — Nader wzruszającem było nabożeństwo żałobne, odprawione dnia 31. stycznia w świątyni Maryi Wspomożycielki z okazyi siedmnastej rocznicy zgonu nieodżałowanego ś. p. X. Jana Bosko. J. E. Najprzew. X. Jan Cagliero asystował pontyfikalnie przy Mszy św. i pokropił katafalk. Kościół, cały obity kirem i zapełniony po brzegi wiernymi, przedstawiał widok imponujący. Chór śpiewaków Oratoryum pod kierownictwem mistrza kaw. Dogliani'ego wykonał ze zwykłą dokładnością nową mszę kaw. Jeremiasza Piazzano, dyrektora kaplicy metropolitalnej w Vercelli. Autor był także obecny i przysłuchiwał się śpiewowi.

Styl jego pracy jest trzeźwy, poważny i harmonijny, a jednocześnie słodki, religijny i godny świątyni. Ustępy najbardziej się podobające i robiące największe wrażenie, są: *Requiem*, *Te decet* i *Kyrie*, nacechowane powagą mistyczną i mistrzowskiem zespoleniem głosów. *Ingemisco* w *Dies irae*, *Sed signifer* i *Quam olim* na *Offertorium*, *Agnus Dei* i *Quando coeli* na końcu egzekwii mają w sobie coś iście niebiańskiego i zachwycają po prostu słuchacza. Z tego też powodu cała funkcya wypadła bardzo wspaniale i zrobiła na wszystkich głębokie wrażenie.

RZYM — Uroczystość beatyfikacyjna X. Jana Maryi Vianney, proboszcza z Ars. — W niedzielę dnia 8. stycznia odbyła się w Bazylice Watykańskiej uroczysta beatyfikacya czcigodnego X. Jana Maryi Vianney, znanego pod nazwą proboszcza z Ars. Po odczytaniu odnośnego dekretu Mgr Luçon, biskup z Belley, zaintonował *Te Deum*, które ogromna rzesza wiernych zapełniająca bazylikę odśpiewała z wielkiem uniesieniem. Nic bardziej wzruszającego nad widok, jaki się przedstawił oczom w chwili przyznania słudze bożemu tytułu błogosławionego. Wśród istnego morza światła opadła zasłona i bł. Vianney ukazał się widzom w całej swej wspaniałej postaci. Ci, którzy go znali za życia, musieli się wielce wysilać, by dając folgę swemu uczuciu, nie wydać gromkiego okrzyku radości. Piękny relikwiarz zawierający kości nowego błogosławionego, został złożony na katedrze św. Piotra, a ks. biskup z Belley przyodziany w białą kapę, w towarzystwie dyakona i subdyakona okadził relikwie i obraz przedstawiający bł. Jana Maryę Vianney. Również Mgrowi Luçon przypadł niemały zaszczyt, zastrzeżony kanonikom bazyliki św. Piotra, śpiewania pontyfikalnej Mszy św. z modlitwą własną błogosławionego. Obecnych było sześciu kardynałów (pomiędzy nimi czterech francuskich), wielu arcybiskupów i biskupów, delegacya proboszczów z Paryża oraz liczni kapłani ze wszystkich zakątków Francyi.

O godz. 3 1|2 Ojciec św. w otoczeniu dwudziestu pięciu kardynałów i całego dworu papieskiego wstąpił do bazyliki św. Piotra dla oddania czci błogosławionemu Vianney. Jego Świątobliwość ukląkł nabożnie przed obrazem i relikwiami proboszcza z Ars i modlił się w skupieniu. Przenajśw. Sakrament był wystawiony i Pius X go okadził; X. kardynał Rampolla zaś odmówił modlitwę i udzielił błogosławieństwa. Następnie X. biskup z Belley i prokurator sprawy beatyfikacyjnej wręczyli Papieżowi tradycyonalny bukiet kwiatów i relikwie błogosławionego.

Sztandary o wielkich rozmiarach, zawieszone u absydy bazyliki podczas ceremonii beatyfikacyjnej, przedstawiały cuda, których przedmiotem byli Klaudiusz Roussat, de S. Laurent-les-Mâcon i Adelajda Joly z Lyonu. Na tejże ceremonii byli obecni Tomasz książę Genui, księżna Izabela, urodzona księżniczka bawarska i Ferdynand z Sabaudyi, książę Udine, ich syn. Ich Królewskie Wysokości zajmowali trybunę dyplomatyczną i tak przy wejściu jak i przy opuszczeniu świątyni przeszli przez drzwi przeznaczone dla publiczności. Po raz to pierwszy od czasu zaboru Rzymu książęta z domu Sabaudzkiego znaleźli się w obecności żyjącego Papieża.

MEDYOLAN-FLORENCYA. — Nasz czcigodny X. Jenerał w swem ostatniem sprawozdaniu dorocznem zwracał uwagę przezacnych Pomocników na cztery wielkie kościoły, których budowy podjęło się Zgromadzenie salezyańskie. Miło nam, iż możemy niniejszem oznajmić, że prace około kościoła św. Augustyna w Medyolanie postępują szybko naprzód, pomimo że częsta słota w obecnej porze roku przeszkadza niemało robotnikom w spełnianiu ich czynności.

Z drugiej strony Ojciec św. Pius X dowiedziawszy się, że także we Florencyi XX. Salezyanie zamierzają budować kościół pod wezwaniem św. Rodziny, raczył własnoręcznie napisać te oto słowa:

« Pomysł ten zasługuje ze wszech miar na pochwałę nie tylko ze względu na to, że posłuży do rozbudzenia i rozszerzenia pobożności, lecz głównie dlatego, że ma na celu bronienie wiary tak bardzo atakowanej przez heretyków...

« Dla dodania przeto nowego bodźca waszej gorliwości przyjmujemy z chęcią podarek, jaki Nam ofiarowano, t. j. kaplicę przyszłego kościoła, która zostanie poświęcona św. Grzegorzowi Wielkiemu, Papieżowi. Wam zaś oraz wszystkim wiernym, którzy w jakikolwiek sposób przyczynią się do wznie-

sienia tej świątyni, udzielamy całem sercem Apostolskiego błogosławieństwa jako zadatek Naszej szczególniejszej życzliwości.

« PIUS P. X. »

TUNIZ (Afryka). — **W parafii Matki Boskiej Różańcowej,** kierowanej przez XX. Salezyanów, obchodzono niedawno uroczyście tysiąc sześćsetną rocznicę św. Łucyi. Piękny kościół, przystrojony odświętnie, przedstawiał się nader wspaniale. Napływ wiernych i pobożnych pielgrzymek był ogromny; bardzo wielu przystąpiło do Komunii św. i wywiązało się z uczynionych ślubów. Około godz. 10 duchowieństwo parafialne oraz kilkunastu proboszczów i kapłanów z miasta, przyobleczonych w szaty kościelne, przyjęli J. E. Najprzew. X. Tournier, tytularnego biskupa Bizerty, który przybył odprawić mszę pontyfikalną. Na nieszporach pontyfikował Najprzew. X. Combes, arcybiskup Kartaginy i prymas Afryki. Wiel. X. Anioł Lovisolo, inspektor Salezyanów w Tunizie, wygłosił kazanie okolicznościowe, poczem Najprzew. X. arcybiskup udzielił zebranemu tłumowi błogosławieństwa Przenajśw. Sakramentem.

Poprzednio tak w rzeczonej parafii jak i w naszem Oratoryum Najsł. Serca Jezusowego wypadły również bardzo świetnie uroczystości jubileuszowe ku czci Niepokalanej Matki Bożej.

Dwudziestopięciolecie dzieł X. Bosko w Hiszpanii. — Salezyanie hiszpańscy przygotowują się razem z swymi Pomocnikami do godnego obchodu 25-tej rocznicy wstępu pierwszej gromadki synów X. Bosko do owego gościnnego kraju. Było to 16go lutego 1881 r., gdy pierwsi Salezyanie pod przewodnictwem Mgra Jana Cagliero przybyli do Utrery blizko Sewilli. Jak wiele dobrego, z łaską Bożą, zdołano zdziałać w tych 25ciu latach! Hiszpania posiada obecnie dwadzieścia ośm zakładów salezyańskich, nie wliczając w to wielu domów Sióstr Maryi Wspomożycielki. Jest zatem słusznem dziękować Bogu publicznie za obfitość łask, jakiemi nasze Zgromadzenie na ziemi hiszpańskiej obdarzył. My z naszej strony, przyklaskując pięknemu pomysłowi Salezyanów i Pomocników hiszpańskich, prosimy Maryę Wspomożycielkę, by podobnego rozwoju doczekały się dzieła salezyańskie także w naszej Polsce.

Ameryka.

NICTHEROY (Brazylia). — **Jeszcze o uroczystościach Maryańskich.**— Poniżej podajemy szczegóły zakończenia uroczystych obchodów jubileuszowych u pomnika Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki w Nictheroy. Po świetnem widowisku, jakie podziwiano w listopadzie na widok nieprzejrzanych tłumów wszelkiego stanu i wieku, zebranych u stóp pomnika, słusznem było oczekiwanie, by na zakończenie świąt jubileuszowych ujrzano coś jeszcze bardziej imponującego. Doczekano się tego w dniu 11. grudnia; według zdania Najprzew. X. arcybiskupa z Rio Janeiro *« była to najświetniejsza apoteoza Niepokalanej Dziewicy, był to wieniec i złoty klucz najwspanialszych w swoim rodzaju uroczystości. »* Najdostojniejszy



Statua błogosławionego Jana Maryi Vianney, proboszcza z Ars.

ks. arcybiskup odprawił Mszę św. wspólną a Mgr. Juliusz Tonti, nuncyusz apostolski, celebrował sumę u stóp pomnika w obecności wspomnianego księdza arcybiskupa oraz ks. biskupa z Petropolis. Kazanie o Matce Najśw. wygłosił X. dr. Juliusz Maria; w końcu odśpiewano uroczyste *Te Deum.*

Tego samego dnia o godz. 2 po południu J. E. X. biskup z Petropolis poświęcił przy licznym udziale gości kolejkę linową zwaną « Marya Wspomożycielka », która dochodzi do stóp pomnika.

BAHIA (Brazylia). — **W kollegium salezyańskiem**

Najśw. Zbawiciela otwarto dnia 20. listopada z. r. małą wystawę prac wykonanych przez wychowanków szkół zawodowych tegoż zakładu. Jura czyli komisya znawców zbadała przedmioty wystawione i wydała o nich sąd nader pochlebny. W kilku dniach trwania wystawy przybyło zwiedzić ją bardzo wielu wielbicieli, kilkunastu zaś zacnych panów na widok zdziałanego dobra okazało swą gotowość do popierania dzieła tak opatrznościowego.

BUENOS AIRES (Argentyna). — **W zakładzie Piusa IX. na Almagro** w końcu grudnia miało miejsce rozdanie nagród wychowańcom w obecności J. E. Najprzew. X. biskupa Jakóba Costamagna. Po odśpiewaniu hymnu narodowego i po krótkiej przemowie X. dyrektora burzliwe oklaski powitały imiona pierwszych nagrodzonych t. j. tych, którzy zwyciężyli na rozprawie katechetycznej. Za ten czas przybył Najdostojniejszy internuncyusz apostolski Mgr Antoni Sabatucci, któremu zgotowano serdeczną owacyę. Gdy ukończono rozdzielanie nagród, X. biskup Costamagna udzielił wychowankom oraz ich rodzicom cennych rad i wskazówek, poczem poprosił przedstawiciela Papieża o udzielenie wszystkim swego pasterskiego błogosławieństwa. Przy tej okazyi zainaugurowano wystawę prac wykonanych w szkołach zawodowych na Almagro i w schronisku X. Bosko na Maldonato, do czego dołączono ręczne prace alumnów kursu normalnego, przydzielonego do kollegium Piusa IX.

— **W krypcie nowego kościoła św. Karola** rozpoczął się 8go stycznia *nowy rok Niepokalanej* czyli szereg uroczystości miesięcznych, które za łaskawem zezwoleniem Stolicy św. można obchodzić w. r. 1905 na cześć Maryi Niepokalanej z tymi samymi przywilejami i odpustami, co zeszłego roku. Wszystkie modlitwy, Komunie św. oraz inne uczynki miłosierdzia tamże spełnione, zostaną ofiarowane Matce Najświętszej za dobrodziejów nowej świątyni.

KOLUMBIA. — X. Ewazy Rabagliati, apostoł trędowatych w Kolumbii, pod datą 21. grudnia nadesłał nam ze statku *Rio Maddalena* następującą wiadomość.

Jestem w drodze do Bogotá po krótkiej wycieczce do brzegów oceanu Atlantyckiego i po zwiedzeniu Panamy, Barranquillii i Cartageny. Obecnie zobaczę Medellin, a przynajmniej tamtejszy lazaret, w celu postanowienia czegoś stanowczego odnośnie do jego inauguracyi, która w danym razie mogłaby być nader blizką. Do Bogotá nie będę mógł przybyć pierwej jak w połowie stycznia, a może dopiero na święto św. Franciszka Salezego, rozumie się jeżeli nic nie stanie temu na przeszkodzie, gdyż tysiączne nieprzewidziane wypadki, jakie się w tutejszych okolicach podróżnemu bardzo często przytrafiają, psują mu najlepsze plany właśnie wtenczas, gdy się tego najmniej spodziewa. Przed dwiema godzinami np. okręt, który mnie wiezie, uderzył tak silnie o ławę piaszczystą, że przednia jego część została uszkodzoną w kilku miejscach i woda leje się teraz do wnętrza jak do swego domu. Majtkowie latają jak szaleni i pracują niezmordowanie, aby przeszkodzić zatonięciu i ocalić towar, który jest zmoczony. Upłynie zapewne kilka godzin, zanim będzie można puścić się w dalszą drogę. Wczoraj zaś spotrzebowano cały dzień, by ocalić inny statek, który osiadł na piasku. Wypadki te zdarzają się nierzadko w czasie tych miesięcy letnich, w których brak deszczu, wodostan rzeki się obniża, co pociąga za sobą powolność w żeglowaniu i każe być przygotowanym na wszelkie niespodzianki. Już od dwu dni powinniśmy znajdować się w porcie, a tymczasem jesteśmy odeń oddaleni jeszcze kilka mil... Dwudziestego listopada miał zostać zamknięty kongres (sejm) w Bogotá, lecz posiedzenia swe przedłużył do 15. b. m. właśnie dlatego, by mieć czas na omówienie nowego prawa dotyczącego lazaretów, które przedłożył prezydent Reyes. Niewiadomo mi jeszcze czy to prawo przyjęto lub nie, ani też, jeśli je przyjęto, pod jakimi warunkami; nie będę mógł też tego wiedzieć przed mem przybyciem do Medellin. Dufam atoli, że Pan Bóg pokieruje sprawą w sposób, który wyjdzie na korzyść tylu nieszczęśliwych...

SANTIAGO (Chile). — **Na pokładzie statku „Orione“.** — Misyonarz salezyański X. Alojzy Costamagna tak opisuje zderzenie, jakie nastąpiło pomiędzy pewnym parostatkiem angielskim a okrętem *Orione*, który wiózł naszych misyonarzy do Chile.

,,Dzięki Bogu i Najświętszej Maryi Pannie Wspomożycielce przybyliśmy zdrowi do Montevideo po uniknieniu bardzo wielkiego nieszczęścia. Podróż udała się pomyślnie: morze tak było spokojne, że codziennie mogliśmy odprawiać Mszę św. Czternastego listopada jednakże, pomiędzy portami Bahia i Vittoria, wzdłuż brzegów Brazylii, punkt o godz. 2,40 po północy gwałtowne wstrząśnienie zbudziło nas ze snu i postawiło na nogi w jednej chwili. Okręt nasz został uderzony z tyłu przez pewien porostatek kursujący pomiędzy Anglią i Brazylią, a należący do angielskiego towarzystwa żeglugi na oceanie Spokojnym. Wybiegliśmy natychmiast na pokład i poznaliśmy niebezpieczeństwo, jakie nam groziło. Gdyby starcie się okrętów nastąpiło było o kilka metrów dalej, maszyna byłaby została roztrzaskana, przez co katastrofa byłaby również była nieunikniona. Na szczęście w owej chwili, w towarzystwie oficera pełniącego straż, stał na pomoście kapitan, umiejętnemu manewrowi którego mamy do zawdzięczenia, jeśli nie stała się większa szkoda.

,, Po minięciu niebezpieczeństwa odprawiono dziękczynną Mszę św. na pokładzie pierwszej i drugiej klasy, a następnie drugą mszę odprawiono w salonie pierwszej klasy dla zadośćuczynienia życzeniu niektórych pasażerów. Komisya złożona z kilku wybitniejszych osobistości poszła również podziękować kapitanowi... Bez dalszych wypadków przybyliśmy szczęśliwie do Montevideo ''.





Jesteśmy przekonani, iż w bolesnych wydarzeniach bieżących czasów nie pozostają nam inne pociechy, jak tylko niebieskie, a między temi pierwsze miejsce zajmuje możne pośrednictwo Tej błogosławionej, która w każdym czasie była Wspomożycielką Chrześcijan.

PIUS X.

Pomyślne załatwienie nader trudnej sprawy.

W czerwcu czy lipcu jechał mój mąż (w towarzystwie pewnego obywatela) z sąsiedniego miasta z powrotem do domu. Ponieważ był to dzień targowy, jechała również w tę stronę większa liczba wozów i powózek. Między innymi zrównał się z moim mężem pewien pijany protestant z matką, który znając go, zamierzał koniecznie się z nim ścigać. Mój małżonek nie miał do tego najmniejszej ochoty i dlatego jechał sobie dalej spokojnie i równo. Ów protestant atoli nie dał za wygraną, lecz w szalonym pędzie zajeżdżał raz z boku, to znowu wpoprzek, aż po pewnym czasie stracił równowagę i wraz z swą matką wypadł z powózki na żwirówkę. Skutek był ten, że owa kobiecina strasznie się pokaleczyła i musiała długi czas przeleżeć w łóżku, co (samo się przez się rozumie) pociągnęło za sobą ogromne koszta leczenia.

Jest u nas zawodowe Zjednoczenie gospodarskie — owa zaś kobieta była gospodynią, — które za nieszczęśliwe wypadki ponosi koszta a przytem udziela wsparcia. Aby więc to osiągnąć, a przedewszystkiem siebie samego od odpowiedzialności przed sądem uwolnić, ów protestant rozgłosił, że wypadek zdarzył się wskutek lekkomyślności mego męża, który gdy on go mijał, miał smagnąć swego konia, od czego spłoszył się jego kón..... i stało się jak wyżej. Wobec tego Zjednoczenie odmówiło owej kobiecie wsparcia i chcąc, by wszystkie odnośne wydatki pokrył mój mąż, wytoczyło mu proces, który przybrał nader niepomyślny dla nas kierunek. Gdy również rzecznicy zaczęli powątpiewać, byśmy mogli wyjść zwycięsko z całej tej sprawy, zwróciłam się z wielką ufnością do Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki, prosząc Jej, by Ona raczyła się podjąć naszej obrony. I stała się rzecz niezwykła, pomimo bowiem że mój mąż został w pierwszej instancyi zasądzony, na głównym terminie uwolniono go od wszelkiej odpowiedzialności. Wdzięczna Matce Najświętszej za pomoc tak widoczną i skuteczną, składam Jej na tem miejscu nasze serdeczne podziękowanie i załączam małą ofiarę na cele Zgromadzenia salezyańskiego.

Dobrzyca (W. Ks. Poznańskie), 2-2-1905.

E. Wrzyszczyńska.

***

Marya Wspomożycielka czynami dowodzi Swej potęgi.

Czytałem nieraz we Wiadomościach Salezyańskich, ile to łask bądź duchowych, bądź też doczesnych Najśw. Panna, Wspomożenie Wiernych, wyświadczyła już i wyświadcza bezustannie różnym ludziom. Niekiedy nie dowierzałem temu, a niekiedy myślałem sobie, że gdybym i ja dostąpił jakiej nadzwyczajnej łaski, gotów byłbym zato publicznie podziękować. — W starszych latach zacząłem popadać w różne niebezpieczeństwa i niejednokrotnie ślubowałem w duszy, że skoro tylko z tego lub owego nieszczęścia cało wyjdę, nie omieszkam złożyć Najśw. Pannie należytego podziękowania. Ale gdy się sprawa dobrze ułożyła, zapominałem o przyrzeczeniu albo mówiłem sobie, iż przebieg taki był zupełnie naturalny i tak a nie inaczej stać się

musiało. Obecnie jednakże jestem odmiennego zdania, bo się przekonałem, że nie zawsze jest naturalnem to, co się takiem wydaje. Dowodem tego fakt następujący.

Przed rokiem zachorowała nam córka na bardzo niebezpieczną chorobę umysłową. Szukaliśmy rady i pomocy u rozmaitych lekarzy, ale stan chorej w niczem się nie polepszał. W końcu jeden z nader doświadczonych lekarzy orzekł, iż w domu córka nam nie wyzdrowieje i że najlepiej oddać ją do jakiego zakładu dla obłąkanych; dodał przytem, iż nie może zapewnić, czy pacyentka tam wyzdrowieje lub nie. Nie chcąc oddalać od siebie nieszczęśliwego dziecka, poprosiliśmy WW. XX. Salezyanów o modlitwy za niem do Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, i załączyliśmy kilka franków jako ofiarę. Skutek tych modłów był nader błogi, gdyż w krótkim czasie nasza córka zupełnie wyzdrowiała i dzisiaj cieszy się przedziwną jasnością umysłu. Przekonani najmocniej, że to Marya Wspomożycielka dokazała tego cudu Swoją potęgą, wyrażamy Jej publicznie naszą najżywszą wdzięczność i przesyłamy ponownie kilkanaście franków na potrzeby salezyańskie.

Orania (Prusy Zachodnie).

STANISŁAW FROST z RODZINĄ.

***

Będąc w sierpniu z. r. w wielkiej potrzebie, udałam się z wiarą i ufnością do Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych, i nie zawiodłam się w swej ufności, bo w sam dzień Narodzenia Najśw. Panny Maryi t. j. 8. września datowany jest dekret mego przeniesienia na inną lepszą posadę. Sercem przepełnionem wdzięcznością dla Tej najlepszej Matki i Opiekunki w potrzebie zostających posyłam 12 koron na odprawienie trzech Mszy św. przed obrazem M. B. Wspomożenia Wiernych na podziękowanie za otrzymaną łaskę, oraz uproszenie sobie dalszej opieki i błogosławieństwa w zawodzie nauczycielskim.

Żydaczów (Galicya), 13-1-1905.

ZOFIA ŚWITKOWSKA.

***

W ciągu ubiegłego roku tylu łask doznałam od Boga za przyczyną Najśw. Jego Matki, że nie podobna tu ich wszystkich wyliczać. Już to samo, że cierpiąc od wielu lat na chroniczną chorobę sercową, dotąd przy życiu zostaję, poczytuję za cud Boży, gdyż wiele znanych mi osób chorych na serce, już dawno nagłą śmiercią zeszło z tej ziemi. Prócz tego w każdej ciężkiej chwili, a było ich wiele w ostatnich czasach, gdy tylko westchnęłam do Matki Boskiej Wspomożycielki, zawsze doznałam ratunku i pociechy. Składam Jej więc należne dzięki i tę skromną ofiarę, na jaką mnie stać, błagając o dalszą opiekę nad naszą rodziną.

Stryj (Galicya), 19-1-1905.

W. BREITMEIEROWA.

***

Zeszłego roku byliśmy wielce stroskani z powodu nieszczęścia, jakie się ojcu naszemu przytrafiło. Udałam się więc do WW. XX. Salezyanów z prośbą o odprawienie Mszy św. i nowenny do Maryi Wspomożycielki, obiecując (w razie wysłuchania) złożyć 10 marek na budujący się pod Jej wezwaniem kościół w Oświęcimiu. I otóż dobry Jezus i Matka Jego najświętsza raczyli się do mych próśb łaskawie przychylić. Jak najchętniej przeto i z prawdziwą wdzięcznością przesyłam WW. OO. przyrzeczoną ofiarę, i proszę ogłosić niniejsze podziękowanie w *Wiadomościach Salezyańskich*.

Gogolewo (Prusy Zachodnie), 9-2-1905.

A. B.

***

Otrzymanie posady.

Od dłuższego czasu starania moje o dostanie stałej posady były bezskuteczne. Wśród tych trosk uciekłem się do Najsł. Serca Jezusowego i Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki, odprawiając w tym celu nowennę. Na wynik mej prośby nie długo czekałem, wkrótce bowiem otrzymałem to, o co długi czas bezskutecznie się starałem. — Czyniąc więc zadość danemu swego czasu przyrzeczeniu, wraz z moją rodziną składam Najsł. Sercu Pana Jezusa i Przeczystej Jego Matce, Maryi Wspomożycielce, publiczne dzięki, prosząc zarazem o dalszą dla nas opiekę.

Rzochów (Galicya), 19-1-1905.

JAN PRZEWROCKI.

***

Złożona bardzo ciężką chorobą, która zdawała się być nieuleczalną i mogła mnie o kalectwo przyprawić, udałam się do N. M. P. Wspomożenia Wiernych, prosząc o zdrowie. Zwrot w tej słabości na lepsze postępuje naprzód zadziwiająco, co jedynie pomocy Maryi Wspomożycielki, naszej najlepszej Lekarki, mam do zawdzięczenia i za co serdecznie dziękuję, błagając o dalszą opiekę nad całym moim domem.

Sokal (Galicya), 9-2-1905.

JÓZEFA MUCHOWA.

* * *

Przed rokiem opuściła żona dom naszego brata i dobrowolnie nie chciała wrócić. W tym wielkim dla nas smutku uciekliśmy się do Najsł. Serca Jezusowego i Najśw. Wspomożycielki Wiernych, a jednocześnie poprosiliśmy Najprzew. X. Michała Ruę o odprawienie wraz z swymi wychowankami nowenny na intencyę zbłąkanej, obiecując w razie wysłuchania złożyć ofiarę na misye salezyańskie. Nadzieja nasza, że modlitwy dziatwy salezyańskiej odniosą pożądany skutek, nie została zawiedziona, szwagrowa bowiem nic nie wskórawszy na sądzie, pojednała się niebawem z swym mężem.

Za tę oraz za wiele innych łask składamy u stóp Maryi Wspomożycielki najszczersze podziękowanie i załączamy 10 marek na cel wyżej wspomniany.

Łabęty (Górny Śląsk), w styczniu 1905 r.

Rodzina N.

Za prawdziwość tego zdarzenia mogę zaręczyć mojem sumieniem.

Jan Kokoszka I
Pomocnik salezyański.

* * *

Czyniąc zadość danemu przyrzeczeniu, pospieszam złożyć publiczne w ,,Wiadomościach Salezyańskich'' podziękowanie Najśw. Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, za doznaną łaskę uzdrowienia drogiej mi osoby. Lekarze nie robili już żadnej nadziei, dlatego udałam się do WW. XX. Salezyanów w Oświęcimiu z prośbą o modlitwy. Ku mej wielkiej uciesze od dnia rozpoczęcia nowenny zaczęło się chorej polepszać, a obecnie jest zdrowa prawie zupełnie.

Posyłając małą ofiarę na cele salezyańskie, polecam siebie i moją rodzinę opiece Najśw. Maryi Panny, a zarazem proszę o dalsze łaski i wysłuchanie wszelkich mych próśb.

Polanka (Galicya), 28-1-1995.

S. W.

* * *

Przejęta wdzięcznością wywiężuję sie z danego przyrzeczenia, składając publiczne dzięki Najsłodszemu Sercu Pana Jezusa i Matce Jego Przenajświętszej, Wspomożeniu Wiernych, za uleczenie naszej córki z ciężkiej życiu jej zagrażającej słabości. Już wiele razy zostałam wysłuchaną i szczerze ufam, że Marya, Matka nasza najmiłościwsza, i nadal otaczać będzie naszą rodzinę swą łaską i opieką.

Kołomyja (Galicya), 28-1-1905.

Melania Braunowa.

Najśw. Marya Panna Wsp. Wiernych wybawiła mnie z wielkiego smutku i nieszczęścia.

W tutejszej gminie jest tymczasowa szkoła katolicka z jednym nauczycielem a ewangielicka z dwoma nauczycielami, Szkoła katolicka ma być dopiero wybudowaną. Otóż Hakatyści postanowili szkołę katolicką znieść, a zato pobudować symultanną. Dozór szkoły katolickiej jednakże oparł się temu i nauczyciel katolicki także. Z tego powodu nastąpiło prześladowanie nauczyciela ze strony inspektora szkolnego, który chciał tegoż nauczyciela, zajmującego swe stanowisko od 44 lat, na drodze dyscyplinarnej złożyć z urzędu. Udałem się atoli do N. M. P. Wspomożenia Wiernych i Ona mnie wybawiła z grożącego mi nieszczęścia.

N... pod zaborem pruskim.

N. N.

* * *

Wywiężuję się z danego przyrzeczenia i składam stokrotne podziękowanie Matce Boskiej Wspomożeniu Wiernych za wyleczenie mej małej córeczki z ciężkiej choroby. Lekarze nie robili żadnej nadziei, by dziecina mogła wyzdrowieć, lecz Najśw. Marya Panna, Wspomożycielka Wiernych, do której się uciekłam o pomoc, dowiodła po raz tysiączny, że Swą potęgą może wszystkiego dokazać.

Posyłam jałmużnę na Mszę św. i potrzeby Zgromadzenia salezyańskiego i upraszam o podanie tego do *Wiadomości Salezyańskich.*

Śrem (W. Ks. Poznańskie), 1-2-1905.

J. Kasprzak.

* * *

Będąc w wielkim smutku i kłopocie, zaczęłam wraz z córką odprawiać nowennę do Najsł. Serca Jezusowego i do Matki Boskiej Wspomożycielki, obiecując, że jeśli to miłościwe Serce za przyczyną Niepokalanej Dziewicy nas wysłucha, złożę publiczne podziękowanie w salezyańskiem czasopiśmie. Nowenna tymczasem się skończyła, a nasze położenie w niczem się nie zmieniło. Nie zrażając się tem bynajmniej, rozpoczęliśmy drugą nowennę i tą razą modły nasze zostały uwieńczone pomyślnym wynikiem. Otrzymaliśmy, o cośmy prosiły. Wdzięcznem zatem sercem uiszczam się z uczynionego ślubu i zasyłam trzy marki na Mszę św. do Najśw. Panny Maryi, Wspomożenia Wiernych.

Książ (W. Ks. Poznańskie), 9-2-1905.

Maryanna Skrzypczak.

Dnia 12. stycznia zachorowałem nagle w nocy na gwałtowne zapalenie płuc. Moja żona posłała natychmiast po doktora, który po ścisłem zbadaniu mego stanu orzekł, że po ludzku rzecz sądząc niema już dla mnie nadziei wyzdrowienia. Sprowadzono innego lekarza i również on był tego samego zdania co jego kolega. Wówczas żona ogarnięta śmiertelną trwogą o moje życie, klękła z dziećmi przed obrazem M. B. Wspomożenia Wiernych i przez rozpoczęcie nowenny poleciła mnie opiece tejże Matki Najśw., prosząc o zmiłowanie. O grożnym stanie mego zdrowia powiadomiono także księdza proboszcza, który przyjechał do mnie z Panem Jezusem i na ten widok wszyscy mniemali, że już chyba będzie ze mną koniec i że chcąc nie chcąc będę się musiał pożegnać z tym światem. Atoli Najśw. Marya Panna Wspomożycielka sprawiła, że się te straszne przewidywania nie ziściły, po przyjęciu bowiem wiatyku zrobiło mi się lepiej, a dzisiaj po czterech tygodniach ciężkiej słabości, sam drżącą ręką piszę publiczne podziękowanie Matce Boskiej Wspomożycielce za cudowne zachowanie mnie przy życiu.

Skołoszów (Galicya), 6-2-1905.

Józef Bublewicz.

***

Składam najserdeczniejsze dziękczynienie Matce Najśw. Wspomożeniu Wiernych za wszystkie łaski, jakich dotychczas doznałam, a głównie za ostatnią. W tym roku byłam ciężko chora i cierpiałam bardzo. Nie znajdując spodziewanej ulgi w lekarstwach, jakie mi podawano, udałam się z ufnością do Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, i wzywałam jej pomocy, mówiąc: Maryo! Matko najmilsza! Pociecho moja jedyna, Uzdrowienie chorych, zmiłuj się nade mną! I prawie natychmiast niebieska Lekarka mnie wysłuchała, przywracając mi dawniejsze siły i zdrowie. Załączam 10 koron na odprawienie Mszy św. dziękczynnej do Matki Boskiej Wspomożycielki.

Marklowice (Śląsk austryacki).

Józefa Adamecka.

***

Dziękują Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za doznane łaski i przesyłają ofiary na Msze św. lub na cele salezyańskie, a mianowicie na zakład oświęcimski, także następujące osoby:

Anastazya Bartkowiak, *Gniezno* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Jadwiga Tomera, *Długoszyn* (Galicya); Szymon Stazienny, *Bytom* (Górny Śląsk); Antonina Sobkowiak, *Środa* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Marya Maryniakowa, *Stryj* (Galicya); Stanisława Rymarkiewiczowa, *Rogożno* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Jadwiga Pochmarska, *Długie* (Galicya); M. Kawczyńska, *Kcynia* (Wielkie Księstwo Poznańskie); K. Lewicka, *Horyniec* (Galicya); X. Kornel Humecki, proboszcz obrz. gr. k., *Spas* (Galicya); N. Zaremska, *Linówiec* (Prusy Zachodnie); Aleksander Niemiec, nauczyciel, *Ulucz* (Galicya); Pius Robaczek (Chroboczek), *Eintracht-huta* (Górny Śląsk); Jan Święch, nauczyciel, *Jadachy* (Galicya); Florentyna Mroczkowska, *Kosów* (Galicya); Franciszek Wróbel, *Dzierzgowice* (Górny Śląsk); Marya Wanac, Jan Seniuch, Franciszka Pusz, Paweł i Anna Krzywonosowie, *Skołoszów* (Galicya); Robert i Rozalia Langerowie, *Kraków* (Galicya); Antoni i Weronika Thomasowie, *Zawada* (Górny Śląsk); Józef Rosa, *Popielów* (Górny Śląsk); Jan i Marya Urbanowiczowie, *Kórnik* (W. K. Poznańskie); Ignacy Ostręga, *Tarnów* (Galicya); Wincenty Braun, *Czerniowce* (Bukowina); Ludwika Hild, *Przemyśl* (Galicya); Anna Chmiel, *Łapczyca* (Galicya); N. Furgacz, *Rozbark* (Górny Śląsk); A. Szwedowska, *Pogutki* (Prusy Zachodnie); A. G. *Kopytów* (Galicya); W. F., *Wielka Łęka* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Zofia Pollak, *Sanok* (Galicya); Mi. Jo., *Podgórze* (Galicya); Szczepan Spałek, *Sandowice* (Górny Śląsk); Maryanna Prymula, *Jachówka* (Galicya); Marta Przewrocka, *Rzochów* (Galicya); Wojciech i Agnieszka Tarek, *Radgoszcz* (Galicya); Wincenty Rywotycki z *Borysławia* (Galicya), za wszystkie otrzymane łaski; J. M. z *Brzoziny* (Galicya), za wyzdrowiene z bólu gardła; F. i A. K. z *Lubicza* (Prusy Zachodnie), za szczęśliwe przebycie i wyzdrowienie z ciężkiej słabości; N. N. z *Strępinia* (Wielkie Księstwo Poznańskie), za dwukrotne uzdrowienie ócz.; J. A. z pod *Białej* (Galicya), za różne doznane łaski; Anna Komarzyca ze *Skołoszowa* (Galicya), za uzdrowienie męża i dwojga dzieci.

OŚWIADCZENIE.

Niniejszem oświadczamy uroczyście, że w poczuciu zupełnego posłuszeństwa dla dekretów papieskich, a mianowicie w myśl dekretów Ojca św., Urbana VIII., *z 13 marca 1625 i 5 lipca 1634 w sprawie wypadków cudownych, poddajemy całą treść niniejszego pisma wyrokom św. Kościoła katolickiego, i że wszystkim i nadzwyczajnym zdarzeniom, opowiedzianym przez nas w dobrej wierze, o których Kościół św. jeszcze nie zawyrokował, jedynie tylko ludzką przyznajemy wiarogodność, nie wyprzedzając ani przesądzając orzeczeń Stolicy świętej, której zawsze i wszędzie chcemy okazać uległość i posłuszeństwo.*

Redakcya.

PIERWSZE
DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE
ORATORYUM SALEZYAŃSKIEGO,

ZAŁOŻONEGO PRZEZ

X. Jana Bosko.

NAPISAŁ X. JAN BONETTI.

Rozdział XLI.

(Ciąg dalszy).

I tu jeden z najstarszych zawołał: „Do stu dyabłów, niech tylko który spróbuje uciekać!“ Puszczę się za nim i zduszę jak kurczę! — „A ja“, dodał drugi nie mniej namiętnie, „ja kamieniem roztrzaskam łeb temu, coby się odważył wyrządzić W. Księdzu choćby najmniejszą przykrość!“ — „Jak żyje nie wróciłby żywy do domu ten, coby zhańbił nasze zastępy!“, zawołał z kolei olbrzym ośmnastoletni. — „Cicho, cicho“, wołał ks. Bosko, „te wyrażenia sprawiają mi przykrość; ja wam ufam zupełnie. Wiem, że mnie kochacie i nie zrobicie mi wstydu. Bądź co bądź zwracam wam uwagę, że jutro cały Turyn będzie miał na nas oczy zwrócone. Jeżeli który źle się zachowa, stracimy wszelkie zaufanie a szczególnie ja, com wam tę łaskę wyprosił. Publiczność słusznie będzie mi mogła zarzucić, że jestem nieroztropny i że dałem się wam uwieść. Wy także na tem stracicie i dacie dowód, że nikt wam nie będzie mógł zaufać! Zresztą na co się przyda ucieczka? gdybyście nawet mieli skrzydła, po kilku godzinach, albo najpóźniej za dzień lub dwa schwytają zbiega i osadzą w cięższem więzieniu. A przeciwnie jeżeli się zachowacie pięknie, jeżeli bez żadnych trudności wrócicie co do jednego wieczorem do domu, kto wie czy w przyszłości nie użyczą wam podobnej łaski i czy nie będziecie mogli czasem użyć takiej miłej przechadzki? Ale są to pobudki ziemskie; my, drogie moje dzieci, musimy wyżej spoglądać. Niedawno temu przyrzekliście Bogu, że będziecie grzeczni, że nie będziecie Boga obrażali. Z wysokości niebios patrzy On na was i gotów wam błogosławić i teraz i w przyszłości, jeżeli będziecie Mu wierni. Dajcież więc jutro wybitny dowód szczerości i trwałości waszych postanowień. Przyrzekacie mi porządek i karność?“ — „Tak, tak, przyrzekamy! słowo honoru! zobaczy ksiądz, zobaczy ksiądz!“

— A jeden rzekł: „W. Ksiądz będzie naszym wodzem, a ja w imieniu wszystkich moich kolegów zapewniam, że żaden jenerał nie miał żołnierzy uleglejszych i karniejszych od nas.“ Po tych zapewnieniach Ks. Bosko oznajmił godzinę wymarszu, porządek pochodu, pobytu w Stupinigi i powrotu. Wreszcie odchodząc od nich, rzekł wesoło: „Do widzenia jutro rano!“

Biedni chłopcy nie posiadali się z radości i już od tego wieczora okazywali swym dozorcom niezwykłą uległość i posłuszeństwo.

Rozdział XLII.

Zawalenie się nowej budowy — Dowody opieki Bożej — Druga loterya — Listy zachęcające do udziału w loteryi — Zapomoga rządu — Dekret ministra Rattazzego.

Z powodu wojny krymskiej i innych wojen nieszczęśliwych rosła nieustannie liczba próśb o bezpłatne przyjęcie chłopców do Oratoryum św. Franciszka Salezego. Krewni sierot, proboszczowie i władze miejskie przysyłali polecenia i prośby. Niektórzy chłopcy przychodzili prosić osobiście. Nie było niedzieli, żeby ks. Bosko nie odkrył między tymi, którzy pierwszy raz przychodzili albo co zwykle uczęszczali do kaplicy, jakiego dziecka tak opuszczonego albo narażonego na tak wielkie niebezpieczeństwo materyalne i moralne, że tylko rychłe i pewne schronienie mogło je uchronić od upadku i zguby. Tak było również z wielką liczbą dzieci uczęszczających do kaplicy św. Alojzego przy Porta Nuova, i św. Anioła Stróża na Vanchiglia. Każdego tygodnia dyrektorowie tych oratoryów przedstawiali ks. Bosko dzieci z wszech miar godne politowania; często nawet rząd polecał syna jakiegoś urzędnika lub wojskowego poległego na polu bitwy; nieraz oddawano mu chłopaka, który jeszcze nie zasługiwał na to, aby go umieszczono w domu poprawy, ale postępowaniem swem budził po-

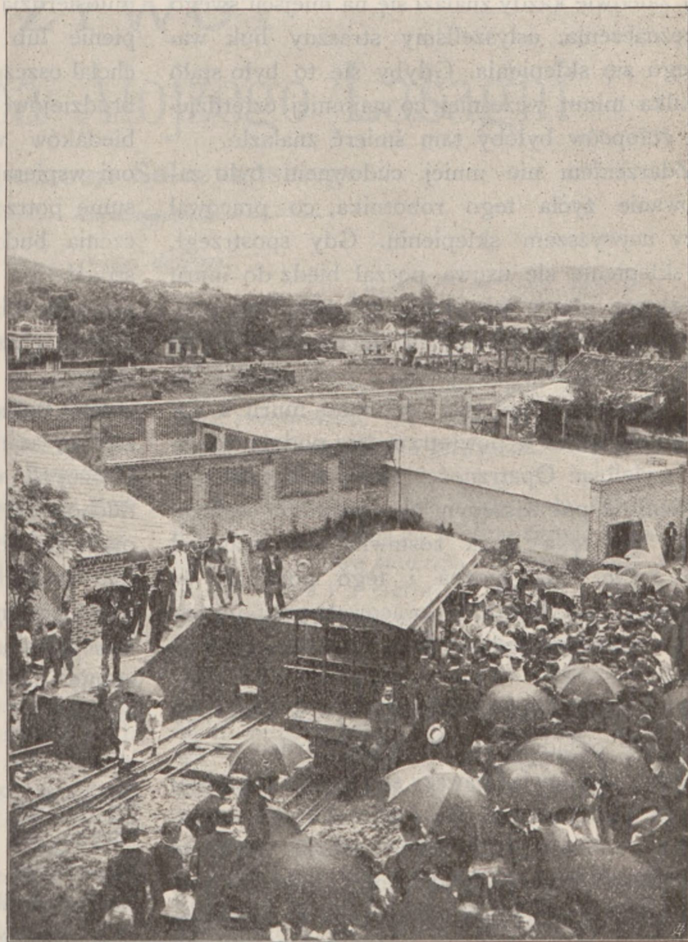
ważne obawy co do swej przyszłości. Polecenia tego rodzaju napływały z różnych ministerstw, urzędów i prefektur państwa. Ks. Bosko nigdy nie odmawiał, jeżeli rozporządzał choćby małym kącikiem. Dzięki tej miłosiernej zasadzie z końcem 1855r. można było znaleźć łóżka w każdej dziurce małego domku, a w lecie jeden chłopak musiał sobie szykować pościel na schodach prowadzących na dzwonnicę.

Na widok codzień wzrastającej liczby próśb o przyjęcie, ks. Bosko postanowił wznieść nowy budynek pomiędzy bramą a kościołem św. Franciszka Salezego. Wezwał więc w tym celu p. Juwenala Delponte, architekta i przedsiębiorcę, i zapytał, czy miałby on czem pokryć pierwsze wydatki budowy. — „Nie mam nic,“ odpowiedział przedsiębiorca. — „Ja także nie mam pieniędzy,“ dorzucił ks. Bosko. — „Cóż więc będziemy robić?“ — „Zacznijmy, rzekł ks. Bosko, a zanim nadejdzie dzień wypłaty robotników, Bóg nam ześle trochę grosza.“

W marcu 1856 r. rozpoczęto budowę. Zburzono stary domek, który dotąd stał jako pomnik naszej dawnej wielkości, i zaczęto nową budowę. Podczas rekreacyi chodziliśmy pracować na równi z robotnikami aby przyspieszyć ukończenie budowy i zmniejszyć wydatki. Pomiędzy mularzami znajdowali się bracia Buzzetti, którzy odtąd nie odstępowali ks. Bosko, a zalecając się dokładną znajomością swego rzemiosła i sumiennością w wykonaniu pracy, doszli do takiej biegłości w sztuce budowania, że zaliczano ich potem do najlepszych przedsiębiorców Turynu.

Z początkiem jesieni lokal miał być już gotów do zamieszkania, dlatego też roboty tak przyspieszono, że z końcem lipca czteropiętrowy dom był już pokryty i budził nadzieję, że wkrótce będzie można go zamieszkać.

Ale nowe nieszczęście spadło na nas. Dnia 22 sierpnia, około 10[tej] z rana pewien mularz był zajęty usuwaniem bukszteIunku sklepienia ze strony południowej. W poprzednich dniach był już dokonał tej samej pracy przy niższych piętrach i był już przy jej ukończeniu, gdy nagle, nie wiadomo z jakiego powodu, sklepienie najwyższe runęło i padając na niższe,



Poświęcenie kolejki linowej w Nictheroy (Brazylia). (*Zob. str.* 104).

zdruzgotało wszystkie aż do piwnicy. W jednej chwili trzy piętra tej części budowy stały się kupą gruzów.

To zawalenie się było wielkiem dla nas nieszczęściem z powodu ogromnych ponownych wydatków, jakie za sobą pociągało. Jednakże pomimo tej straty musieliśmy uwielbiać widoczną Opatrzność Boską nad nami. Przytoczymy tylko dwa fakty. Od kilku dni z parteru

usunięto już podpory podtrzymujące sklepienie a chłopcy gromadzili się tam podczas rekreacyi; jedni bawili się, drudzy czytali, uczyli się, rozmawiali, inni znajdowali się tam, by czuwać nad młodszymi. O w pół do dziesiątej dzwonek zadzwonił i każdy z przykładną pilnością udał się do swego zajęcia, bądź to na lekcyę pedagogii, którą wykładano podczas wakacyi, bądź do nauki lub innego zajęcia.

I zaledwie każdy znalazł się na miejscu swego przeznaczenia, usłyszeliśmy straszny huk walącego się sklepienia. Gdyby się to było stało o kilka minut wcześniej, co najmniej czterdziestu chłopców byłoby tam śmierć znalazło.

Zdarzeniem nie mniej cudownem było zachowanie życia tego robotnika, co pracował przy najwyższem sklepieniu. Gdy spostrzegł, że sklepienie się usuwa, począł biedz do muru bocznego, ale w tej chwili zabrakło mu podstawy pod nogami i rzucił się instynktowo na narożny kawałek sklepienia i pozostał tak na pół zawieszony na tym odłamku muru z nogami wiszącemi w powietrzu. Nie podobno było nie uwielbiać Opatrzności Bożej nad tym biedakiem na pół wiszącym na tych kilku cegłach, które mu ręka Boża zostawiła, by uratował swe życie. Nie można i tego pominąć, że chociaż tylu robotników pracowało przy tej budowie, żadnego jednak sklepienie nie przywaliło.

Tego dnia księdza Bosko nie było w domu; po powrocie oglądnął szkodę i był bardzo zmartwiony; ale dowiedziawszy się, że nikt nie został zabity ani zraniony, podziękował Bogu i z wyrazem spokoju i radości począł żartować z cisnącemi się do niego dziećmi: „Tylu was jest! Mógł każdy sklepienie choć palcem przytrzymać, toby się nie było zawaliło. Oj! do niczego nie jesteście zdolni, do niczego! Ale ja się lituję nad wami; to „Berlich“ (1) pewno tu zarył swymi rogami. Już po raz drugi ten potwór chce nam wywrócić dom. Ale nie szkodzi. Ma on do czynienia z Bogiem i Najśw. Panną. Sklepienia się zapadły, no! to je znowu wzniesiemy a drugi raz już się nie zapadną.“

Gdy się nasi dobrodzieje dowiedzieli o tem nieszczęściu, okazali najżywsze współczucie dla ks. Bosko. Gorliwość ich wcale się nie zmniejszyła, owszem rosła coraz bardziej. Jednak długi już zaciągnięte i te, które trzeba było jeszcze zaciągnąć, dochodziły do kilku tysięcy franków. Dlatego to ks. Bosko postanowił odwołać się znowu do dobroczynności publicznej, urządzając wielką loteryę. Miał kilka do tego powodów. Najprzód chciał dać większej liczbie wiernych sposobność do spełnienia uczynku miłosierdzia przez ofiarowanie fantów, zakupienie lub rozsprzedanie biletów. Po drugie chciał oszczędzić kieszeń swych zwykłych dobrodziejów i nie pozbawiać jałmużny innych biedaków w Turynie i Piemoncie, których oni wspierali. Wreszcie chciał zyskać przez to sumę potrzebną do zapłacenia długów i ukończenia budowy. Tym sposobem szatan więcej stracił niż zyskał, gdyż przyczynił się do powiększenia liczby dobrych uczynków i aktów miłości chrześcijańskiej względem Boga i bliźniego.

Ks. Bosko ledwie ogłosił zamiar urządzenia loteryi, a już zgłosiła się wielka liczba pań i różnych wybitnych osobistości z pomiędzy duchowieństwa i inteligencyi Turynu i miast okolicznych, którzy uważali sobie za zaszczyt być na liście promotorów tego dzieła.

Poczuwamy się do obowiązku umieścić na tem miejscu wystosowane przez komitet zaproszenie do udziału w loteryi, które brzmi jak następuje:

ZAPROSZENIE

do udziału w loteryi fantowej na korzyść Oratoryum św. Alojzego przy Porta Nuova, św. Franciszka Salezego na Valdocco i św. Anioła Stróża na Vanchiglia.

« Ewangeliczna miłość bliźniego nauczyła człowieka najpiękniejszych dzieł dobroczynnych. Unika ona wprawdzie oka ludzkiego, lecz gdy chodzi o pomnożenie chwały Bożej i o dobro bliźniego, porzuca swoje ukrycie, zwycięża swój wstręt i wyciąga rękę do osób szlachetnych; owszem w takim razie umie opowiedzieć, jeżeli tego potrzeba, to dobro, którego już dokonano, by tym sposobem zachęcić i pobudzić dusze miłosierne do wspierania nieszczęśliwych.

W tym to duchu komitet, kierujący tą lo-

(1) Nazwa piemoncka szatana.

teryą, postanowił skreślić choć w ogólnych rysach najważniejsze dzieła, które się spełniają w tych oratoryach. Tym sposobem zostanie uwydatnione przeznaczenie dochodu z obecnej loteryi.

Sądzimy, że każdy wie o tem, iż jeden z kapłanów naszego miasta, ks. Jan Bosko, żądny pracy nad młodzieżą opuszczoną, otworzył trzy oratorya dla chłopców na trzech krańcach miasta. Tam w dniach świątecznych zbierają się w wielkiej liczbie chłopcy z miasta i okolicznych wiosek.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ŻYWOT
X. biskupa Alojzego Lasagni
Misyonarza Salezyańskiego.

(Ciąg dalszy).

Rozdział XIX.

Jest duszą wszystkiego — Nie dba o zdrowie, gdy chodzi o chwałę Bożą — Nabożeństwo żałobne za Piusa IX. w Villa Colon — Żółta febra w Montevideo — Nowy Papież — List do Misyonarzy Salezyańskich — Dom dla terminatorów w Montevideo — Zostaje proboszczem w Las Piedras — Wiara wystawiona na próbę — Cud.

Kolegium Piusa IX., założone na silnym fundamencie, wydawało już obfite owoce. Zgromadzenie Sióstr Maryi Wspomożycielki, którego celem było kształcenie młodych dziewcząt w cnocie i pobożności, przesadzone na grunt amerykański, zapowiadało szybki i szczęśliwy rozwój. W całej republice Urugwajskiej wymawiano ze czcią imię ks. Bosko, a działalność jego synów przybierała coraz szerszy zakres. Ks. Lasagna ją rozpoczął i w ruch wprowadził, on był duszą i główną podporą całego życia umysłowego i religijnego. Nie było mu obcem żadne dobre dzieło, mianowicie jeśli się odnosiło do młodzieży; w swoim zapale kapłańskim gotów był na wszystko i znajdował się na pierwszem miejscu, gdziekolwiek był jakiś uczynek miłosierny do spełnienia. Przyjaciele jego i współbracia obawiali się, aby tą pracą niezmordowaną sił swoich nie wyczerpał, tembardziej że trapiły go bezustanku różne dolegliwości. Ks. Bosko i przełożeni z Turynu zalecali mu wypoczynek, lekarze przedstawiali, jak szkodliwie może na jego zdrowie taki brak ostrożności wpłynąć, lecz on zwykł był mawiać, iż biegnąc po pochyłości, nie można się zatrzymać. Ks. Józef Gamba, jeden z dzielnych towarzyszy ks. Lasagni, późniejszy jego następca na stanowisku inspektora Urugwaju, opowiada, że był zawsze niestrudzony i nie zważał na żadną chorobę, gdy się o chwałę Bożą rozchodziło. ,,To wszystko przejdzie, nic mi to nie zaszkodzi'', powtarzał, i ani na chwilę nie ustawał w pracy.

Dnia 7go lutego 1878 roku, cały świat katolicki okrył się żałobą na wieść o zgonie Piusa IX., który świątobliwą śmiercią zakończył długi żywot usnuty z róż i z cierni, z chwały i cierpienia. Żywą boleścią przeszyte zostały serca umiłowanych jego dzieci, a mianowicie Salezyanie odczuli głęboko stratę, jaką ponieśli, albowiem zmarły papież był największym ich dobroczyńcą; on to potwierdził ich zgromadzenie, a słowem i czynem udzielał im zawsze poparcia w trudnych chwilach. Kolegium w Villa Colon, noszące imię Piusa IX., postanowiło zaznaczyć żałobę swoją uroczystem nabożeństwem.

Odbyło się ono 28go marca, a kościółek św. Róży, na tę okoliczność kirem obity, zapełniony był szczelnie wiernymi, których łzy i modlitwy łączyły się ze wspaniałą muzyką chóru. Ks. Lasagna dołożył wszelkich starań, aby przy tej sposobności stwierdzić gorące przywiązanie Salezyanów do kościoła i Stolicy św. Z początkiem tego samego roku miasto Montevideo nawiedzone zostało zarazą — wybuchła tam żółta febra i pochłonęła wiele ofiar. Na szczęście w Villa Colon nie zdarzył się ani jeden wypadek tej strasznej choroby i wskutek tego kollegium Piusa IX. zostało wkrótce przepełnione, gdyż rodzice starali się na gwałt o umieszczenie tam swoich synów, aby ich ustrzedz od zarazy. W ten sposób rozszerzało się z każdym dniem pole działania synów ks. Bosko, a mianowicie ich dyrektora,

którego trawiło pragnienie zdobywania Bogu coraz więcej dusz. Rok 1878 był jednym z najświetniejszych dla kolegium tak co do ilości uczniów, jak co do pięknych rezultatów, któremi trudy Salezyanów zostały uwieńczone.

Do tej pociechy w krótkim czasie inna została przydana wskutek wyboru ks. Joachima Pecciego, biskupa Perugii, na zastępcę Chrystusowego i najwyższą Głowę Kościoła. Sława jego wielkiej mądrości i wiadomość o życzliwości i prawdziwie ojcowskiej dobroci, z jaką przyjął ks. Bosko, napełniły najsłodszą nadzieją serca naszych misyonarzy w Ameryce, którzy zaraz przesłali nowemu Papieżowi gorące powinszowania, zapewnienie niewzruszonej wierności dla stolicy Piotrowej i dołączyli krótkie sprawozdanie ze swoich prac i apostolstwa. Na dowód, jak miłym był Ojcu św. ten hołd Salezyanów amerykańskich, przytoczymy tu w całości brewe papieskie, które otrzymali w odpowiedzi.

Leon XIII. Papież

Kochanym Synom pozdrowienie i błogosławieństwo apostolskie.

,,Otrzymaliśmy, wraz z opisem tych rzeczy, które zdziałaliście na Misyach, list wasz, w którym, na wiadomość o wyborze Naszym, dajecie wyraz synowskim uczuciom przywiązania do Naszej Osoby i do Stolicy Apostolskiej. Przyjęliśmy wdzięcznem sercem to oświadczenie wasze i nawzajem szczęśliwi jesteśmy dowodem łaski Naszej obdarzyć was, kochani bracia, którzy podążyliście w dalekie krainy, aby opowiadać naukę Ewangelii i dla zbawienia dusz gotowi jesteście wszelkie trudy ponosić. To wszystko, co Nam piszecie o dziełach waszych misyjnych, napełnia wielką pociechą duszę Naszą, albowiem rozpoznać łatwo możemy, iż z całą gorliwością przykładacie się do rozszerzania chwały Bożej i do nawracania niewiernych; dziękujemy też Panu całem sercem, iż wam sił skutecznych do pracy udziela i nagradza ją tak pięknymi owocami. Nie wątpimy, kochani synowie, iż ta dobroć Boża będzie pomnażać w was zapał i dzielność, abyście, złączeni ściśle z Kościołem świętym, wytrwać mogli na tej drodze i w każdej rzeczy szukając jedynie Jezusa Chrystusa, przyczynili się do powiększenia liczby i zasług prawdziwych sług Jego w okolicach, w których przebywacie. Co do Nas, którzy pragniemy przedewszystkiem, aby królestwo Chrystusowe rozciągnęło jak najdalej granice swoje na tej ziemi, nie omieszkamy okazywać wam gorącej Naszej życzliwości i wstawiać się będziemy za wami do Pana, aby pełnością łask Swoich obdarzał was i dopomagał na każdym kroku.

Przyjmijcie zatem, ukochani bracia, błogosławieństwo Apostolskie, którego udzielamy wam z głębi serca z wielką miłością w Chrystusie Panu i z pragnieniem, aby dla każdego z was stało się ono zapewnieniem pomocy niebieskiej.

Dan w Rzymie u św. Piotra, 18 września roku Pańskiego 1878, pontyfikatu Naszego 1go.''

Leon XIII., Papież.

Te słowa pełne ojcowskiej dobroci były największą pociechą i najmilszą nagrodą dla misyonarzy. Napełniły wszystkich otuchą a przedewszystkiem ks. Lasagna uczuł, że świeża odwaga wstępuje mu do serca i ze wzrastającą gorliwością zabrał się do uprawy tej części winnicy mistycznej, która mu była powierzona.

W tym liście Papieża wspomniane były ogólnie wszystkie dzieła salezyańskie w Ameryce Południowej, wkrótce jednak ks. Lasagna otrzymał pismo odnoszące się specyalnie do kolegium Piusa IX. i do prac przez niego rozpoczętych. Stało się to z tego powodu, iż Wikaryusz Generalny z Montevideo, ksiądz Jerequi, udawszy się do Rzymu, przedstawił Ojcu św. i wykazał to dokumentami, ile dobrego świadczą Republice Urugwajskiej Synowie ks. Bosko, szczególnie za pomocą kolegium w Villa Colon. Dodał przytem, iż nie wystarcza, aby Salezyanie dostarczali tylu rodzinom środków do wychowania i kształcenia dzieci w duchu chrześcijańskim, ale że powinni koniecznie zająć się także młodzieżą biedną i opuszczoną, zakładając w stolicy szkołę sztuk i rzemiosł. Prosił więc usilnie Papieża, aby z pomocą miłosierdzia osób dobroczynnych powstał w Montevideo zakład w którymby dzieci ludu, dzieci nie mające żadnych środków do życia, nabywać mogły znajomość rzemiosła, za pomocą którego będą mogły w przyszłości zarabiać na swoje utrzymanie. To wstawienie się Wikaryusza Generalnego nie pozostało bez skutku. Kilka dni zaledwie upłynęło, a ks. Bosko otrzymał z Rzymu list, w którym Leon XIII ubolewał nad brakiem w Montevideo szkół i warsztatów dla biednej dziatwy i wyrażał nadzieję, że Salezyanie wkrótce temu zaradzą.

Ks. Bosko nie potrzebował innej zachęty aby się zabrać do dzieła. Natychmiast napisał do ks. Lasagni, udzielając mu wskarówek, aby się postarał o wyszukanie koniecznych środków

i stosownego budynku na dom, przeznaczony dla terminatorów. Z swej strony nie mógł mu obiecywać pieniędzy, ale go zapewniał, że jak tylko budowa zostanie ukończona, przyśle mu wykształconych majstrów i dozorców. Tym sposobem przybyło ks. Lasagni niemało trudów i kłopotów, lecz podjął się wszystkiego z najlepszą wolą, ufając mocno w błogosławieństwo Opatrzności w tej pracy, nałożonej mu przez samego Namiestnika Chrystusowego. Prócz tego zmuszony był w owym czasie objąć probostwo w Las Piedras i przygotować w tej parafii mieszkanie dla Sióstr Matki Wspomożenia, mających przybyć z Europy w celu założenia szkoły dla dziewcząt. Aby dać wyobrażenie o mnogości spraw i zajęć spoczywających na barkach ks. Lasagni, opowiemy tutaj w krótkości wszystkie zabiegi podjęte przez niego, aby utrzymać w Villa Colon Zakład Sióstr Maryi Wspomożycielki, które w latach 1878 i 1879ym w tak trudnem znajdowały się położeniu, iż zdawało się dla różnych powodów, że się nie zdołają utrzymać w tej miejscowości.

Domek, który im wyznaczono, był za szczupły na pomieszczenie wielkiej ilości dziatwy, gromadzącej się w szkole i w patronażu, a przytem budowa jego tak była wadliwa, iż groził zawaleniem. Na odrestaurowanie nie wystarczało nawet siedmset dukatów, ofiarowanych przez zacne opiekunki Salezyanów w Urugwaju, panie Jakson, i wobec tego, że życie tylu dziewcząt narażone było na ciągłe niebezpieczeństwo, okazała się konieczność przeniesienia zakładu. Ks. dyrektor czynił poszukiwania na wszystkie strony, choć funduszów żadnych nie posiadał; dopomogła mu jednak Opatrzność, gdyż znalazł się niejaki pan Uziarte, który odstąpił mu na kilka miesięcy piękne wiejskie pomieszkanie. Siostry umieściły w niem swój Zakład tylko tymczasowo, właściciel bowiem nie myślał domu odstępować na dobre, a gdyby się był nawet zdecydował na to, Salezyanie nie mogliby byli marzyć o nabyciu tej realności z powodu jej wysokiej ceny.

Ks. Lasagna uradowany z tej zwłoki rozpatrywał się za stosownem umieszczeniem Sióstr na przyszłość, kiedy nagle dowiedział się z przerażeniem, że pan Uziarte wskutek znacznych strat majątkowych zmuszony był sprzedać swoją willę w jak najkrótszym terminie. Nie warto było rozpoczynać z nim rokowań o kupno, nie posiadając ani grosza; jednakże ks. Lasagna dowiedział się, że właściciel pragnął bardzo odstąpić posiadłość swoją na zakład dobroczynny i pomimo że ofiarowano mu już za nią 25.000 dukatów, czekał jeszcze w nadziei, że Salezyanie znajdą potrzebną kwotę. Ta wiadomość dodała mu otuchy, lecz zarazem wprawiła go w wielki kłopot. Z jednej strony błysnęła mu nadzieja nabycia tego domu, z drugiej wydawało się niepodobieństwem zebrać w tak krótkim czasie środki potemu. Przedstawił więc całą tę sprawę biskupowi, który choć wzruszony do łez, nie był jednak w stanie udzielić mu żadnej pomocy. Ks. Lasagna nie dał wszakże za wygraną. Polecił rozpocząć specyalne nabożeństwo do św. Józefa i podczas gdy w domu trwano na modlitwie, on poszedł za przykładem ks. Bosko pukać od drzwi do drzwi wszystkich osób szlachetnych, które znał w Montevideo. Lecz niebo wydawało się nieubłagane. Bóg chciał wypróbować widocznie swojego sługę, bo gdziekolwiek się udawał, spotykał go gorzki zawód. Nadszedł wreszcie ostatni dzień oznaczonego terminu; położenie zmieniło się i ks. Lasagna stroskany w najwyższym stopniu, nie mógł całą noc oka zmrużyć. Wstaje zatem, biegnie do kaplicy, modli się długo i gorąco do Jezusa, ukrytego w Najświętszym Sakramencie; następnie pod wpływem zapału, jaki go ogarnął za natchnieniem z nieba, pisze list błagalny do pani Heleny Jakson i wczesnym rankiem posyła go przez braciszka. Nie było jednak w domu tej miłosiernej pani, która wróciła dopiero koło południa, a z uderzeniem dwunastej upływała ostatnia godzina, w której interes można było załatwić. Ale Opatrzność sprawiła, że pomoc nie przyszła zapóźno; pani Jakson dała się przekonać, udzieliła wprawdzie nie całej kwoty, ale dość znacznej sumy, aby właściciel był na razie i tak zadowolony. Siostry miały już zapewnione posiadanie tego domu, który pod każdym względem odpowiadał ich potrzebom, jakoteż warunkom Zakładu dla dziewcząt. Matka Boska Wspomożycielka okazała wkrótce Swoją łaskę poczciwemu panu Uziarte, który dla Jej Córek tak względny był w tej sprawie. Parę miesięcy później zachorował on ciężko, a jego cudowne wyzdrowienie przypisać można jedynie modlitwom Sióstr i błogosławieństwu udzielonemu mu przez ks. Lasagnę. Ten ostatni opowiadał często ze wszystkimi szczegółami historyę nabycia owego domu przez Salezyanów i dowodził, jak skuteczną jest modlitwa w położeniu, które się wydaje bez wyjścia i że św. Józef nie zawodzi nigdy tych, którzy w Nim bezgraniczne zaufanie pokładają.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NEKROLOG

ZMARLI POMOCNICY.

Ziemie Polskie.



X. Antoniewicz Bolesław, dziekan, — *Bnin*, W. Ks. Poznańskie.
Bek Ludwik, — *Piaśniki*, Górny Śląsk.
X. Bielicki Herman, — *Pelplin*, Prusy Zachodnie.
Brzezina Piotr, — *Łagiewniki*, (Górny Śląsk).
Brzozowski Adam, — *Montowo*, Prusy Zachodnie.
Chyliński Michał, — *Ostaszewo*, Prusy Zachodnie.
Cuper Anna, — *Rajkowy*, Prusy Zachodnie.
Dej Marya, — *Kościeliska*, Górny Śląsk.
Dominik Joanna, — *Jedlec*. Wielkie Ks. Poznańskie.
X. Dziedzic Wojciech, — *Stryj*, Galicya.
X. Fiema Wincenty, — *Święcany*, Galicya.
Goła Józefa, — *Rozdrażewo*, W. Ks. Poznańskie.
Gralewska Maryanna, — *Wesołowo*, Prusy Zachodnie.
X. Gruszka Andrzej, — *Muszyna*, Galicya.
Jabłoński Mikołaj, — *Linówiec*, Prusy Zachodnie.
Jasiński Józef, — *Złotowo*, W. Ks. Poznańskie.
X. Jasłowski Franciszek, — *Budzanów*, Galicya.
Joniec Anna, — *Żołynia*, Galicya.
Kamińska Teresa, — *Pólko*, Prusy Zachodnie.
Karolus Andrzej, — *Czmoń*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
X. dr. Kasprzak Józef, dziekan — *Otfinów*, Galicya.
Kłosowska Agnieszka, — *Piawki*, Prusy Zachodnie.
Markuszewska Anna, — *Linówiec*, Prusy Zachodnie.
Mazur Joanna, — *Pisarzowice*, Górny Śląsk.
Minta Jan, — *Lutogniew*, W. Ks. Poznańskie.
Montowski Michał, — *Montowo*, Prusy Zachodnie.
Niemczewski Edmund, — *Borek*, W. Ks. Poznańskie.
Schulz Karolina, — *Zabrze*, Górny Śląsk.
Sołobodowska Maryanna, — *Grodziczno*, Prusy Zachodnie.
Stankiewicz Józef, — *Podgórze*, Galicya.
Szałkowska Barbara, — *Lorki*, Prusy Zachodnie.
Thomalla Wielebna Matka Marya, Przełożona SS. Boromeuszek, — *Wielkie Oczy*, Galicya.
Tomanek Michał, — *Michałkowice*, Górny Śląsk.
Walerowska Wiktorya, — *Trzemeszno*, W. Ks. Poznańskie.
Wawrosz Walenty, — *Ruda*, Górny Śląsk.
X. Weiss Józef, — *Dublany*, Galicya.
Wieczorek Walerya, — *Orzegów*, Górny Śląsk.
Wojtasińska Leontyna, — *Kraków*, Galicya.
Wroński Władysław, nauczyciel, — *Rysie Rudy*, Galicya.
Zabłotna Maryanna, — *Linówiec*, Prusy Zachodnie.



Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków. Amen.

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: JÓZEF GAMBINO.
Drukarnia salezyańska. (B. S.) — Turyn, 1905.
Wydawca i odpowiedzialny redaktor na Austro-Węgry: ROBERT ECKERT.

odpowiednio lub wyuczywszy się jakiego rzemiosła, wyszli na prawych chrześcijan i dzielnych obywateli swego kraju, powiększając w ten sposób orszak sług Chrystusowych na ziemi, by kiedyś w niebie uczestniczyć z Nim w wiecznej szczęśliwości. Mąż świątobliwy rozpoczął to dzieło dobroczynne, lecz śmierć przedwczesna nie pozwoliła mu go dokończyć. Dokończył je zato następca księdza Bosko, X. Michał Rua, i złożył Ojcu św. Leonowi XIII w ofierze r. 1893 na pamiątkę jubileuszu biskupiego Jego Świątobliwości.



Użyteczność Związku mszalnego tak dla sprawy religii jak i społeczeństwa. — W naszych czasach wszyscy głębiej myślący czują konieczność, że trzeba na seryo zająć się sprawą zagrożonego bytu religii i społeczeństwa, by raz już położyć tamę ohydnym, a w celach swoich zgubnym wysiłkom nieprzyjaciół Kościoła i porządku publicznego. Otóż zdaniem naszem najskuteczniejszy na to środek jest następujący: sprawić, ażeby młodzież otrzymała *wychowanie* moralne, *wykształcenie* zaś odpowiednie do wymagań czasu. Młodzież jest podstawą społeczeństwa; co więcej, ona będzie kiedyś stanowiła sameż społeczeństwo. Jeżeli zatem młodzież będzie chrześcijańską, cnotliwą i należycie wykształconą, to takiemi będą również całe rodziny i narody całe; wtenczas zapanuje porządek publiczny, zakwitnie pokój a z nim jednocześnie prawdziwy postęp i dobrobyt u wszystkich. W przeciwnym razie będziemy mieli przewrotnych obywateli, niegodnych ojców, swarliwe rodziny, niespokojne i skłonne do zaburzeń miasta i narody, jednem słowem, ucierpi na tem całe społeczeństwo. Z tego wszystkiego, cośmy dotąd powiedzieli, wynika, że ktokolwiek rozszerza Związek mszalny Najsłodszego Serca Jezusowego, składając **1** franka na budowę rzeczonego *schroniska*, tem samem przyczynia się do religijnego wychowania 500 ubogich chłopców, którzy, może jak długie wieki, następując jedni po drugich przyniosą szczęście dla niezliczonych rodzin, a dorósłszy i rozproszywszy się po świecie, będą działać dla dobra wiary i społeczeństwa z takim pożytkiem, jaki Bóg jeden obliczyć może; gdy tymczasem opuszczeni i sobie samym pozostawieni, przynieśliby tylko hańbę sobie i rodzinom, a może staliby się plagą i wyrzutkami całego społeczeństwa.



Udział w korzyściach duchowych. — Wszyscy katolicy wiedzą, że Msza św. jest źródłem nieustannem błogosławieństwa dla żywych i zmarłych. Niedoliczone są łaski, jakich Pan Bóg już tu za życia udziela tym, którzy zamówią Mszę św., lub na których szczególną intencyą kapłan ją odprawi; i tak n. p. nawrócenie grzeszników, pokonanie swych namiętności, wytrwałość w dobrych przedsięwzięciach, oddalenie groźnych niebezpieczeństw, uregulowanie spraw materyalnych, uzdrowienie w chorobie i t. p. Msza św. jest dalej najskuteczniejszym środkiem do wybawienia dusz z mąk czyścowych i skrócenia czasu ich mąk. Owoż dając powyższą jałmużnę 1 franka przyczynia się każdy do odprawiania *sześciu* Mszy św. codziennie po wieczyste czasy, z których każda codziennie odprawia się na intencyą tego, co groszem swym przyczynił się do jej ufundowania. A więc podczas gdy zkądinąd za ofiarę tejże wartości można zakupić *jedną* tylko Mszę św. i raz tylko jeden, to w Związku mszalnym Najsłodszego Serca Jezusowego za takiż sam datek ma się łącznie z tymi, którzy w nim biorą udział, codziennie korzyść duchową w *sześciu* Mszach św. i to nietylko za życia, ale i po śmierci, jeżeliby tego zachodziła potrzeba. Myśl ta powinna skłonić wszystkich ludzi dobrej woli, by przystąpili do tego pobożnego Stowarzyszenia.



Zelatorzy i Zelatorki. — Pomyślny wynik tego pobożnego dzieła zależy po większej części od Zelatorów i Zelatorek. Z pewnością wszędzie znajdą się osoby, które na cel powyższy mogą ofiarować *jednego franka*; wszystko zależy od tego, by je wynaleźć, zapoznać z korzyściami duchowemi Związku i nakłonić do przystąpienia. Zadanie to poruczamy przedewszystkiem naszym Pomocnikom i Pomocnicom, którzy znowu mogą się posługiwać innemi osobami, jakie za najodpowiedniejsze do tego zbożnego dzieła uznają. Zalecamy wszystkim, żeby zapisać wyraźnie imię i nazwisko ofiarodawców na karcie wpisowej, gdyż poślemy ją do Rzymu i zachowamy w archiwum tamtejszem; niech także zachowają u siebie spis tych nazwisk, ażeby módz dać każdemu zapisanemu do Związku poświadczenie we formie obrazka pamiątkowego, jakie na ich ręce wyślemy.



Odpowiedź na pewne pytanie. — Zapytywano nas, czy można także przyjąć datek mniejszy od franka. Odpowiadamy: *tak*, lecz w tym razie Zelatorzy zapiszą tylko jałmużnę, opuszczając nazwisko,

a ofiarodawcy uczestniczyć będą w korzyści duchowej ze Mszy św. w tej mierze, jaka przypada na ich datek i o ile to się będzie podobało Boskiemu Miłosierdziu, co i grosz wdowi łaskawie przyjmuje i nie zostawia go bez nagrody.



Wysyłka kart wpisowych i ofiar. — Gdy Zelator lub Zelatorka wypełnili już kartę wpisową w części lub też całą, albo gdy nie spodziewają się tak prędko ją wypełnić, w takim razie prosimy ich o inną przysługę t. j. żeby nam ją przysłali pocztą, *opatrzoną we własnoręczny ich podpis i dokładny adres*. Pieniądze zaś prosimy wysyłać albo w liście rekomendowanym, albo też przekazem pocztowym. Adres do Rzymu jest następujący: *Al Reverendo Direttore dell'Ospizio del Sacro Cuore, via Porta S. Lorenzo, n.* 42, Roma, **Italia**. — Do Turynu zaś: *Al Reverendissimo Don* MICHELE RUA, *via Cottolengo*, 32, Torino, **Italia**.



Pamiątki. — Słuszna jest, żeby każdy, który na cel powyższy złożył **1** franka miał drobną pamiątkę swego udziału w Związku mszalnym Najsłodszego Serca Jezusowego. Stąd też w miarę wpływających ofiar i kart wpisowych wyślemy pod adresem szanownych Zelatorów tyle obrazków Serca Jezusowego, ile jest osób zapisanych. Rzeczą zaś Zelatorów będzie, obrazki te pamiątkowe, które mają równocześnie służyć jako świadectwo wpisu do Związku, każdemu z członków doręczyć.



Żądanie innych kart wpisowych. — Jeżeliby który z Zelatorów miał do wypełnienia więcej niż jedną kartę i potrzebował jeszcze innych, to nietylko że mu je wyślemy, lecz prosić będziemy Najsłodsze Serce Jezusa, by tę jego gorliwość szczególniejszemi wynagrodziło dobrodziejstwami.



Nagroda Zelatorów i Zelatorek. — Jesteśmy przekonani, że Zelatorzy i Zelatorki wesprą nas i przyczynią się do rozkrzewienia niniejszego Związku jedynie z miłości ku Sercu Jezusowemu i że od Niego samego wyczekiwać będą zasłużonej nagrody. Z tem wszystkiem oświadczamy na tem miejscu, że ci, którzy nam przyślą kartę wypełnioną przynajmniej 12 wpisami wraz z odpowiednią kwotą pieniężną, będą brać udział w korzyści duchowej z **6** Mszy św. codziennych jak każdy inny z wpisanych; udział ten zwiększy się w stosunku do kart zapisanych i do nadesłanych odpowiednich datków pieniężnych.



Wpisy w domach salezyańskich. — Tam gdzie się już znajdują domy XX. Salezyanów lub *Sióstr P. Maryi Wspomożenia wiernych*, zamiast gdzieindziej, można u nich składać swoje ofiary, a każdy Dyrektor lub Przełożona jest z góry upoważniony przyjmować ich wkładki i zapisać w osobnym na ten cel rejestrze imię, nazwisko i miejsce pobytu ofiarodawcy; poczem mu wręczy obrazek pamiątkowy i przy najbliższej sposobności odeśle pieniądze zebrane do Rzymu lub Turynu pod adresem jak wyżej.



Turyn, 1897 — Drukarnia salezyańska.